Klerk mężny. Wspomnienie o Zbigniewie Herbercie (1924-1999).

Zbigniew Herbert, fot. Jerzy Bauer/East News.

Florian Śmieja

Zbigniew Herbert był znakomitym poetą, ale jednocześnie człowiekiem dla wielu sobie współczesnych niewygodnym. Bo był inny. Nie połknął żaby, nie pisał pochwał Stalina, wśród towarzyszy go nie było, nie cieszył się zaufaniem pierwszych sekretarzy, nie był rzecznikiem ani przewodniczącym, nie był

szpiclem i nie pisał donosów na kolegów.

Pisał poezję, która się ostanie jako świadectwo jego czasów. Nie był uciekinierem z Utopii, ale wiernym sobie świadkiem możliwości postawy wyprostowanej, opowiedzenia się za smakiem. Herbert to klerk mężny, a takich w czasach PRL-u nie było zbyt wielu. Stąd niechęć literatów do poety niezhańbionego.

Mimo ukończonych przez niego studiów, odmawiano mu godziwego zatrudnienia. Owszem, jeździł za granicę. Były to wyjazdy trudne, pracowite. I bynajmniej nie bałwochwalcze.

W liście z 1975 roku pisał z Wiednia:

> Nie odpowiadałem tak długo ponieważ ruszałem się po Austrii (Graz,, Karyntia, Salzburg) szereg wieczorów autorskich, radio, TV, wszystko po to, aby umocnić się trochę tutaj (także finansowo, bo żyję z pracy rąk a nie na łaskawym chlebie).
>
> Ostatnie trzy lata w PRL-u miałem ciężkie, pełne doświadczeń, rozczarowań, małych tryumfów, walki. Nie potrafię pogodzić się z aktualną rzeczywistością w Polsce, nie idzie mi zresztą tylko o sytuację w literaturze. Przy tym wszystkim nie mam żadnych ambicji politycznych, ale

> niesprawiedliwość i krzywda ludzi prostych – doprowadzają mnie do stanu wrzenia. I eksploduję. I płacę za to. Na szczęście mam dobrą żonę, która stoi wiernie przy mnie.
>
> Ponieważ przeszło pół roku mam zakaz druku, zwłaszcza jeśli idzie o radio i telewizję – co stanowiło dużą część mojego budżetu – postanowiłem zostać na zachodzie jak długo się da. Mogę tu lepiej i swobodniej pracować. Zwłaszcza od czasu, gdy wyzbyłem się wielu iluzji na temat „wolnego świata”. Nauczyłem się już żyć i pisać w stanie konstruktywnej rozpaczy.
>
> Wszystko to piszę, abyś wiedział jak stoją moje sprawy. Przyjm to jako przyjacielskie wyznanie – do twojej tylko wiadomości.

A dziesięć lat wcześniej opisując daremne starania, aby dostać wizę hiszpańską zamieścił w liście taką skargę: *Cóż robić z tą miłością do świata, Florianie, i z takim fatalnym paszportem!*

Czyż można się dziwić, że wdowa po tak potraktowanym człowieku odmówiła przyjęcia orderu Orła Białego od dziedziców jego ciemiężców? Nie świadczy natomiast dobrze o polskich uniwersytetach fakt, że żaden z nich nie zdobył się na odwagę i przezorność, by Herbertowi nadać doktorat honoris causa. To ich

strata już nie do odrobienia.

Najwyższym jednak wyróżnieniem dla poety jest pamięć narodu i tę Herbert zdaje się mieć zapewnioną.

W roku 1965 w liście pisanym z Wiednia Herbert wyznał: *Przez Ciebie polubiłem Hiszpanię.* Ale było to uczucie wówczas jeszcze przez Hiszpanów nie odwzajemnione, zakazane, skutecznie udaremniane. Być może, że odezwanie Herberta spowodowało wydrukowanie przeze mnie dwu jego wierszy w miesięczniku madryckim „Poesía Española". Niemniej jego fascynacja Hiszpanią była znacznie wcześniejsza.

Spotkaliśmy się po raz pierwszy w Londynie w 1959 roku, jako że w lutym tego roku czytał on swoje wiersze w Instytucie im. gen. W. Sikorskiego na zaproszenie naszej grupy poetyckiej wydającej wtenczas miesięcznik „Merkuriusz Polski". Potem czas jakiś spędził w Paryżu i usilnie starał się o możliwość wyjazdu do Hiszpanii. Prosił mnie w 1963 roku o poparcie.

> List polecający pomógłby mi, ale jeszcze trzeba kogoś znaleźć w Hiszpanii kto „poświadczy". Znalazłem już kogoś, ale zależy mi bardzo na adresie Twoich przyjaciół w Madrycie. Nie będę u nich mieszkał ani jadł, mam jakieś pieniądze na tę awanturę, ale miło by mi było spotkać

> Polaków z którymi mógłbym się dogadać. Czy nie zrobi Ci to wielkiej trudności? Ostatecznie mogę pojechać tak sobie. Ale w Hiszpanii znam tylko El Greca i nie wiem czy to wystarczy.

Nie pojechał, choć bardzo mu na tym zależało. W cytowanym już liście pisał gorzko wspominając ów epizod:

> Wizy mi oficjalnie nie odmówili ale też nie dali. Znam dobrze ten system z Polski. Naprzód miłe rozmowy z konsulem w Paryżu (głównie o hiszpańskim gotyku) potem zaczął mnie unikać – rozmawiałem z jakimiś 3-rzędnymi urzędasami, w końcu dałem spokój, bo udało mi się (dostać wizę – FS) do Włoch i Grecji. Nota bene dano mi do Grecji wizę na 4 dni, a byłem 4 tygodnie.

W innym liście z 1975 roku, również z Wiednia pisanym w odpowiedzi na przekazane mu przez Zdzisława Najdera moje kwerendy, Herbert donosił z nadzieją: „Być może że w zimie uda mi się pojechać do Hiszpanii, której nie znam i trudno mi ją sobie wyobrazić”.

Mieszkałem wtedy w Andaluzji i dwa listy Herberta przyszły na mój bardzo romantyczny adres: Plaza de la Caracola, Torremolinos, Málaga. Pracowałem akurat nad tłumaczeniem

jego wierszy i radziłem się w sprawie niektórych niejasnych szczegółów. Herbert cieszył się, że go przekładałem i to, jak zapewniał *na język którego nie znam (a muszę się nauczyć).*

Skoro Herbert nie mógł odwiedzić Hiszpanii, wizy nie potrzebowała jego poezja. Przełożywszy na hiszpański „Powrót prokonsula" i „Siódmego anioła" posłałem je do miesięcznika „Poesía Española", który je wydrukował w nrze 155, w listopadzie 1965 roku. Ukazały się dość dziwnie, bo bez załączonej noty o Herbercie, opuszczono także nazwisko tłumacza, tak że mogły uchodzić za utwory oryginalne. Ten błąd reklamowałem u znajomego redaktora tygodnika „Estafeta Literaria", który obiecał sprawę właściwie załatwić i dodał, że był w Wiedniu obecny, kiedy Herbertowi wręczano międzynarodową nagrodę Nikolausa Lenaua.

W roku 1975 często jeździłem z letniskowego Torremolinos do niedalekiej Malagi. Tam otwarto uniwersytet, którego godłem stał się sławetny gołąb pokoju Pablo Picassa, malarza urodzonego w Maladze. Jednym z wykładowców literatury hiszpańskiej był José Mercado. Zaprzyjaźniłem się z nim i pokazałem mu przekłady wierszy Herberta. Zapalił się do nich i przez resztę mojego pobytu spotykałem się z nim na wspólne cyzelowanie tekstów Herberta. Przyświecał nam pomysł, by przygotować cały tom przekładów i wydać jako publikację inaugurującą serię wydawnictw wydziału humanistycznego

uniwersytetu w Maladze. Po każdej wspólnej sesji, Hiszpan zabierał manuskrypty, aby je dać sekretarce do przepisania na maszynie. Kiedy zbliżył się czas mojego wyjazdu, cały tom został w gestii don Joségo. Nie miałem nawet kopii. Kiedy wróciłem do Kanady, zacząłem niecierpliwie czekać na ukazanie się przekładów ponaglając opieszałego partnera częstymi listami. Posłałem nawet pismo polecone pani dziekan wydziału oraz poznanemu w Maladze adwokatowi i poecie Alfonsowi Canalesowi. Niesłowny Andaluzyjczyk nie wywiązał się z przyrzeczenia, nie odpisywał na listy, potem zachorował i niespodziewanie zmarł. Po latach odnalazłem jego syna, który obiecał poszukać przekładów wśród spoczywających w piwnicy papierów ojca. Jeżeli one jeszcze tam gdzieś są, to praktycznie są niedostępne, a więc dla mnie przepadły.

Kubański kwartalnik związku literatów „Unión” w 1970 bodaj roku (na publikacji nie ma daty) wydał numer specjalny poświęcony współczesnej literaturze polskiej opracowany przez Romana Samsela. W obszernej antologii tekstów znalazły się również dwa wiersze Herberta „Powrót prokonsula” oraz „O tłumaczeniu wierszy” w przekładzie Jana Zycha. Mniej więcej dziesięć lat później (szacuję tylko, gdyż tomik także nie ma daty wydania) uniwersytet w Ciudad México w serii materiałów do lektury opublikował broszurę „Poesía polaca contemporánea” w opracowaniu i przekładzie Krystyny Rodowskiej. Wśród tekstów Iwaszkiewicza, Przybosia, Różewicza, Szymborskiej,

Grochowiaka i Białoszewskiego znalazły się cztery utwory Herberta: „Jonasz”, „Ozdobne a prawdziwe”, „Żeby tylko nie anioł” i „Przepaść Pana Cogito”. W roku 1986 torontoński dziennik „El Popular” wydrukował mój przekład „Raportu z oblężonego miasta”. Odwiedziłem kilkakrotnie Jana Zycha w México i wiem, że on też miał jeszcze na warsztacie poezje Herberta.

Wszystkie teksty moich przekładów Herberta, oprócz tych, które zaginęły w Maladze, drukowanych i nie drukowanych, w 1993 roku posłałem autorowi. Może nauczył się on tymczasem nieco hiszpańskiego języka, ale bardziej prawdopodobnie po prostu porównał moje wersje ze świeżo wydanym w Madrycie tomem przekładów „Informe desde la ciudad sitiada y otros poemas”, Hiperión, 1993 w przekładzie i prezentacji Xavería Ballestera. Dziękując mi za przekłady wyraził się, że „na moje wyczucie są bardzo dobre”. Rozumiał też moje problemy ze znalezieniem wydawcy hiszpańskiego. Tym razem bowiem los uśmiechnął się do Herberta. Napisał doń wydawca serii poetyckiej „Hiperión” i wnet wyszedł tom poezji i prozy poetyckiej po hiszpańsku, w którym znalazły się najbardziej znane utwory („Tren Fortynbrasa”, „Powrót prokonsula”, „Nike która się waha”, „Bajka ruska”, „Pan od przyrody”, „Kamyk”, „Dlaczego klasycy”, „Dawni mistrzowie”, „Mordercy królów”, „Domysły na temat Barabasza”, „Raport z oblężonego miasta” oraz szereg wierszy z „Pana Cogito”). Obszerny wstęp obejmuje życiorys Herberta i

charakterystykę jego twórczości. Maluje też obraz naszej części Europy ostatniego półwiecza.

Herberta ta późna niespodzianka ogromnie ucieszyła.

> Tak mnie to podnieciło – pisał w liście z 2.9.1993 roku – że ruszyłem za Pireneje i spędziłem w Madrycie cztery szalone dni i noce borykając się z ciężką chorobą jak bym postanowił umrzeć przed obrazem Goyi czy Velazqueza. Była to na pewno moja najbardziej zwariowana podróż ale jej nie żałuję.

Moje przekłady, które Herbertowi posłałem w wydruku komputerowym, udało mi się później opublikować we Wrocławiu z okazji ukazania się tam VI tomu „Estudios Hispánicos" mnie wielkodusznie przypisanemu z racji ukończenia siedemdziesięciu lat i ofiarowanemu w formie księgi pamiątkowej. Niektóre teksty stamtąd przedrukował dziennik kolumbijski „El Universal" w Cartagenie, a w hołdzie pośmiertnym zapewne ukazały się i inne wiersze.

Nie zdołała złamać poety dziwnie zgodna niechęć Hiszpanii gen. Franco i władz PRL-u, choć te ostatnie przez swoich pogrobowców ośmieliły się bezwstydnie oferować zmarłemu swoje fawory; hiszpański konsul natomiast uniemożliwił powstanie książki o gotyku i malarstwie hiszpańskim na miarę

„Barbarzyńcy w ogrodzie”, pozbawiając swoją ojczyznę mistrzowskiego peanu i hołdu oddanego jej przez nieszczęśliwego miłośnika, zaś polskiego czytelnika, znakomitej prozy.

Wierny rycerz Rzeczpospolitej. Józef Poniatowski (1898-1995).

Florian Śmieja

Józef Poniatowski na Bliskim Wschodzie, fot. arch. Zofii z Poniatowskich i Floriana Śmiejów.

Choć protagonista niniejszej ewokacji nie żyje od wielu lat, to znalezienie jego dziennika prowadzonego od opuszczenia Polski w roku 1939 do jesieni 1947 roku dało okazję do naszkicowania sylwetki zasłużonego człowieka i przypomnienia niektórych

zdarzeń jego wojennej wędrówki. Mam do dyspozycji dwa grube oraz dwa cienkie ręcznie zapisane zeszyty. Nie posiadam, niestety, pierwszego zeszytu zdeponowanego w Rumunii, widzę też brak zapisków z postoju w Bagdadzie.

Józef Maria Poniatowski urodził się 20 sierpnia 1897 roku w majątku ojca, Szczęsnego, w Cepcewiczach Wielkich, powiat Sarny, na Wołyniu. Jego dziad, Adam, walczył w powstaniu styczniowym i został zesłany na Sybir, tak że przez jakiś czas Szczęsnym opiekował się wuj, dziś święty ksiądz arcybiskup Zygmunt Feliński.

Józef Poniatowski uczęszczał do szkół w Kijowie, służył w wojsku polskim, w roku 1923 ukończył Wyższą Szkołę Handlową (WSH), a w 1925 roku uzyskał dyplom Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego (SGGW). Potem studiował w Paryżu. Od 1930-35 był posłem na Sejm z ramienia Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem (BBWR) i był dyrektorem Biura Ekonomicznego Prezesa Rady Ministrów. Autor szeregu prac naukowych, w najważniejszej "Przeludnienie wsi i rolnictwa" (1936), dowodził, że polskie rolnictwo cierpiało z powodu przeludnienia. .

Z wojskiem polskim przekroczył granicę rumuńską w roku 1939. Po opuszczeniu Rumunii przez Turcję znalazł się w Palestynie, gdzie mianowano go dowódcą plutonu Legii Oficerskiej i wraz z nią wysłano do Egiptu. Stamtąd w 1941 roku wziął on udział w

nieudanej wyprawie do Tobruku. Opisał jej dramatyczny przebieg, a także rutynowe “atrakcje” obozowego życia w postaci, jak wynika z tonu opisów, mało lubianych defilad.

> Pierwsza z nich miała miejsce w pierwszych dniach grudnia z okazji przyjazdu Naczelnego Wodza. Było najpierw długie czekanie, zupełnie zgodne z tradycją wszystkich polskich uroczystości wojskowych, potem prezentowanie broni, przegląd, krótkie rozmowy, odczytanie rozkazu Nacz. Wodza przez ppułk. Emisarskiego (Epler jeszcze był w Tobruku), przemówienie Nacz. Wodza, potem defilada całej Legii i powrót do rejonów, a w komp. Dowodzenia jeszcze bodaj jakieś śniadanie i chór oficerski oraz orkiestra angielska. Zjawił się na uroczystości i kapitan „Hero” komandor Hicks, związany z Legią krótkim, ale silnym przeżyciem. Defilada zrobiła podobno bardzo dobre wrażenie, a gen. Sikorski wywarł również doskonałe wrażenie, co jest dla mnie z obu stron dowodem, że robić dobre wrażenie w odpowiednich warunkach nie jest rzeczą trudną. Albowiem Legia na pewno ustępuje w sensie formalnego wyszkolenia przeciętnemu nieźle wyszkolonemu oddziałowi piechoty, co zaś do gen. Sikorskiego, to z wiekiem stracił tę sprężystą postawę, która mogła pociągać przed kilkunastu laty, ani zaś rozkaz, ani tym mniej przemówienie nie odbiegały niczym od przeciętności i raczej słabo były przystosowane do tego specyficznego

audytorium. Takie już jest jednak nastawienie żołnierza, że wzrusza się samym faktem widzenia i słuchania Naczelnego Wodza i to jest oczywiście dobrze dla dyscypliny. To też nie umiejąc poddać się temu dodatniemu nastrojowi, byłem daleki od jego rozpraszania, przeciwnie, uważam, że jakkolwiek by się oceniało osobiście człowieka, jeśli nie ma się wpływu na zastąpienie go przez innego, należy dążyć by Naczelny Wódz miał jak największy autorytet. Nie przeszkadza to możliwości zwalczania go jako polityka, gdy się wojna skończy i zdejmie się mundur.

Przemówienie gen. Sikorskiego zawierało, co prawda w niezupełnie konkretnej formie, obietnicę użycia nas już nie jako szeregowych, ale w charakterze kadry oficerskiej dla oddziałów, które mają się na Środkowym Wschodzie tworzyć, zapewne spośród Polaków znajdujących się obecnie w Rosji. Późniejsze przemówienia w Teheranie i Moskwie bardziej jeszcze wyraźnie o tym mówiły.

Po paru dniach byłem z wizytą w Ośrodku Zapasowym w Sidi Biskr (przedmieście Aleksandrii) i przypadkiem trafiłem znowu na gen. Sikorskiego tuż po jego przemówieniu, w którym tutejszym oficerom także obiecał użycie w charakterze kadry. Obiecał także, że „Jędrzejewicze i Poniatowscy nie wrócą już do Kraju”. Nie wiem, jak godzi tę własną decyzję z zapewnieniami, że społeczeństwo w Kraju

samo o wszystkim demokratycznie zadecyduje. Skoro jednak usłyszałem w przemówieniu z Moskwy, że i Związek Sowiecki jest demokracją, doszedłem do przekonania, że podobnie jak i w poprzednim, dziś wyklętym, reżimie, wszystko zależy od interpretacji.

Drugi uroczysty przegląd mieliśmy z okazji powrotu płk. Eplera. „Krwawy Dziadek" rozkrochmalił się i wygłosił bardzo ciepłe i serdeczne przemówienie, w o wiele lepszej formie niż Naczelny Wódz.

Wkrótce potem była rewia dla pożegnania opuszczającego Legię jej pierwszego dowódcy, sympatycznego ppłk. dypl. Emisarskiego. Ten również pięknie i kulturalnie, jak zwykle, przemówił.

Ostatnia bodaj była rewia z okazji przyjazdu nowego D(owód)cy Wojsk Polskich na Środkowym Wschodzie gen. Zająca. Ten w ogóle nie przemawiał, ale od razu z samochodu wysiadł z przyjaznym uśmiechem i tym wszystkich ujął. Po paru dniach otrzymaliśmy jego pierwszy rozkaz, później drugi, świąteczny – bardzo mi się podobały dzięki prostocie, bezpośredniości, brakowi frazeologii…

Józef Poniatowski (z bandażem) i regent Iraku, fot. arch. Zofii z Poniatowskich i Floriana Śmiejów.

Józef Poniatowski i małoletni król Iraku, fot. arch. Zofii z Poniatowskich i Floriana Śmiejów.

Potem Józef Poniatowski został redaktorem naczelnym tygodnika „Ku Wolnej Polsce”, a następnie piastował to samo stanowisko w ”Orle Białym” w II Korpusie gen. Władysława Andersa, aż do września 1944 roku. Redagowanie „Orła Białego” było szczególnie trudnym wyzwaniem i nie zawsze przebiegało spokojnie. Współpraca różnych osobowości wymagała ustawicznej czujności. Rywalizacja z niespokojnymi i ambitnymi duchami, poczucie odpowiedzialności, ciągłe przeprawy z

niełatwymi, drażliwymi ludźmi przy potrzebie nieustępliwości wobec presji aliantów oraz konieczności twardej i samodzielnej polityki mającej tylko interesy Polski na celu, powodowały, że poczęto patrzeć na zespół redakcyjny jako na grupę romantycznych szaleńców uważających, że słuszność jest czynnikiem politycznym, że słaba Polska jest w stanie prowadzić oddzielną politykę.

Z czasem zaczęły się piętrzyć trudności i nieporozumienia. Zanim doszło do ostatecznego pożegnania się z funkcją, zdarzały się coraz częstsze scysje i spory. Oto opis jednego z konfliktów zanotowanych w pamiętnikach:

> Od chwili odejścia Czapskiego i przyjścia na jego miejsce rtm. Święcickiego, a powyżej – Bąkiewicza, stosunki w naszym Oddziale zaczęły się psuć. Przyjęto sporo nowych osób, prawie w całości z Dwójki, które nie raczyły ani przedstawić się dawnym współpracownikom, ani można zrozumieć, co robią. Nastała atmosfera obca i nieprzyjemna. Szczególnie to wzrosło po przeniesieniu się naszych z Neapolu do Rzymu. Widoczne było także, że psują się stosunki z gen. A(ndersem). Zamiast dawnych pochwał, zainteresowania, obrony „Orła” przed krytyką, poczęły nas dochodzić głosy niezadowolenia, złośliwej krytyki.

Początek tego zbiegł się jeszcze z dymisją Czapskiego w czerwcu. Mianowicie Bielatowicz, b. kierownik działu literackiego w naszej redakcji, liniowy podchorąży z Karpackiej, tobrukczyk, sympatyczny chłop, choć zajadły endek, napisał artykuł p.t. „Libia i Cassino”, gdzie przeprowadza porównanie obu kampanii, przeciwstawiając się lekceważeniu tamtej pierwszej, choć mniejszej. Artykuł mógł wzbudzić w wojsku trochę kwasów, jak zawsze, gdy się chwali jakąś akcję, gdzie nie wszyscy byli. Giedroyć jednak nalegał, że to bardzo dobre, Kopciowi także się podobało, a ostatecznie sama myśl obrony przed zapomnieniem tamtych wartości wydawała się słuszna. Po namyśle więc artykuł puściłem, nieco go jedynie łagodząc, a w szczególności zmieniając przeciwstawienia na zestawienia.

Skutek był piorunujący. Przez wiele dni każdy przyjeżdżający z Korpusu opowiadał nam jaki gen. A(nders) jest wściekły z powodu tego artykułu, jak uważa, że to jest pomniejszanie zwycięstwa pod Cassinem itd., pomimo, że od zwycięstwa upłynęło już 3 tygodnie, a „Orzeł” był przez ten czas pełen artykułów sławiących Cassino.

Bodajże tegoż dnia, w którym była wspomniana pierwsza odprawa Bąkiewicza, przysłano nam numer „Orła” z owym artykułem i napisem szefa sztabu pułk. Wiśniewskiego: „Co za dureń to napisał? Odpowiedzialny redaktor zamelduje się

u mnie”. Giedroyć postanowił jechać wraz ze mną, uważając się za współodpowiedzialnego. Przyszedł jeszcze rozkaz, że zameldować się mamy w formie raportu. Miał nas przedstawić do raportu Bąkiewicz, już się tam znajdujący.

Korpus stał w tym czasie na południe od Pescary. Pojechaliśmy łazikiem prowadzonym przez por. Kowalewskiego. Droga piękna w poprzek Półwyspu niespełna 300 km. Przenocowaliśmy w Vesco, ciekawym starym miasteczku już nad Adriatykiem, rano przyjechaliśmy do kwatery głównej w gaju oliwnym. Chociaż byliśmy na ten dzień zamówieni, okazało się, że Generał wyjechał do Rzymu, ppłk. B(ąkiewicz) nie wiem dokąd, a płk. W(iśniewski) także wyjechał, ale na krócej. Istotnie, pod wieczór się zjawił. Przyjął nasz raport w samochodzie, w którym urzęduje.

Podobno porządny jest chłop i bliski gen. Sosnkowskiemu, ale nie powiem, żebym odniósł najlepsze wrażenie. Najpierw

indagował Giedroycia, potem mnie, ale żadnego z nas nie pytał o to, jak rozumiemy artykuł, dlaczego uznaliśmy go za możliwy, tylko pytał czy uważaliśmy go za pożyteczny, a twierdzącymi odpowiedziami tak był zdumiony, że już nie dyskutował więcej, tylko oświadczył, że nie nadajemy się wobec tego do pełnienia funkcji i zostaniemy ukarani. Cała rozmowa była na stojąco, a na pożegnanie nawet ręki nie podał. To drobiazgi, ale odczułem przepaść między umysłowością tego zawodowego oficera, wcale nie gorszego od przeciętnej, raczej przeciwnie, a cywilnym sposobem myślenia.

Skończyło się na tym, że dostaliśmy po 2 tygodnie aresztu domowego, co prawie nie zmieniało naszego trybu życia, ale z uwagi na nonsensowność faktu namyślałem się, czy by się nie podać do dymisji, zwłaszcza, że umotywowanie rozkazu o ukaranie było nieprzyzwoite, mówiło bowiem o zamieszczeniu artykułu obniżającego wartość wysiłku Korpusu itp. Brednie. Ponieważ jednak rozgrywała się gra o sprawy ważniejsze, a płk. W(iśniewski) wciąż uchodzi za przyjaznego naszej postawie, więc ograniczyłem się do złożenia drogą służbową, po odbyciu kary, obszernego zażalenia do d(owód)cy Korpusu, z wyraźnym zaznaczeniem, że za artykuł Bielatowicza przyjmuję pełną odpowiedzialność i proszę o unieważnienie kary nie z powodu jej wymiaru, a tylko uzasadnienia. Odpowiedzi dotąd nie otrzymałem.

Kiedy samodzielność polityczna stała się niepożądana i postanowiono z pisma zrobić organ dyspozycyjny, przyjęto taktykę likwidowania opornych na raty, bo usunięcie calego zespołu narobiłoby niepotrzebnego rozgłosu. Nie było już mowy o wzmocnieniu linii, była krytyka „Orła” i konfiskata wydrukowanego już artykułu Juliusza Mieroszewskiego. Podanie się do dymisji redakcji stało się nieuniknione jako forma protestu. Przychylił się do niej również Naczelny. Napisał list, który przekazał rtm. Święcickiemu.

> Józef Poniatowski por., redaktor naczelny tyg. „Orzeł Biały’”.M.p. dn. 31.8.1944 r.
>
> Dowódca 2 .Korpusu, w m.o. (drogą służbową)
>
> Melduję prośbę o zwolnienie mnie ze stanowiska redaktora naczelnego tygodnika „Orzeł Biały”. Prośbę swą uzasadniam jak następuje:
>
> Równo przed dwoma laty z rozkazu Pana Generała objąłem redakcję czasopism wojskowych, a następnie „Orła”. Przez cały czas pracy w Iraku i Palestynie stwarzał Pan Generał korzystną atmosferę pracy redakcji darząc ją zaufaniem, zachęcając, broniąc na zewnątrz, a przede wszystkim dając wyraźną i (nieczytelne) linię ideową, zgodną z przekonaniami

zespołu redakcyjnego o służeniu polskiej racji stanu i zostawiając dużą swobodę w wykonaniu tej linii oraz łatwość bezpośredniego kontaktu z Panem Generałem w wypadkach wątpliwości.

Skoro spotykały nas ze strony Pana Generała pochwały, nie nagany, widzę w tym potwierdzenie, że pracowaliśmy lojalnie i właściwie.

Od kilku miesięcy dowiadujemy się już nie o uznaniu, ale o zastrzeżeniach Pana Generała do naszej pracy, chociaż na terenie włoskim wysiłek raczej zwiększyliśmy, nie zmieniając, a tylko pogłębiając linię ideową w myśl wytycznych Pana Generała i zgodnie z rozwojem sytuacji. W szczególności ppłk. dypl. Bąkiewicz, wyznaczony przez Pana Generała jako oficer do zleceń, któremu podlegała propaganda, dawał na każdej odprawie wyraz niezadowolenia z wyników naszej pracy. Na przedostatniej odprawie ppłk. Bąkiewicz zakwestionował, o ile zrozumiałem, jedną z podstawowych składowych ideologii aprobowanej poprzednio przez Pana Generała – koncepcję współpracy narodów Międzymorza. Nie mogłem uzyskać ściślejszych wyjaśnień, ponieważ rozmowy, na którą się zgłosiłem, nie uzyskałem.

Na ostatniej swej odprawie ppłk. Bąkiewicz przedstawił nam,

jako wytyczne udzielone przez Pana Generała po powrocie z Londynu, poglądy, których bez wyjaśnienia nie mógłbym zrozumieć, ani zastosować. Dyskusji nie dopuścił, natomiast wezwał by ci, którym te poglądy nie będą odpowiadały, co wyraźnie przewidywał, (nieczytelne) do pracy w propagandzie. Dodał jednak, że w najbliższym czasie Pan Generał zamierza odbyć z nami odprawę, wobec czego uważałem za konieczne wstrzymać się z decyzją.

Odprawa nie nastąpiła, natomiast ostatnio zaszły fakty świadczące o zaniku zaufania Pana Generała do pracy redakcji, a także i do linii politycznej przez nią reprezentowanej. Wprawdzie na niedawnej odprawie Szef Oddziału po rozmowie z Panem Generałem zakomunikował, że wytyczne pozostają bez zmian, wszakże w parę dni potem zażądał okazania mu do kontroli całej treści znajdującego się w robocie numeru, wprowadził do dwóch artykułów szczegółowe zmiany idące po linii łagodzenia krytyki rezygnacyjnej polityki premiera, a więc sprzeczne z dotychczasowymi wytycznymi i wynikającą z sytuacji koniecznością ostrzegania, jeśli nie będzie za późno.

Dn. 27 bm. okazał mi Szef Oddziału depeszę Pana Generała, z której wynika, że w nr. 35 „Orła” drukując artykuł „Elementy decyzji” i notatkę „Z ostatniej chwili” przekroczyliśmy wytyczne. O ile w artykule mogła zajść

rozbieżność w ocenie tego lub innego wyrażenia, o tyle nie jestem w stanie wyjaśnić sobie, w jaki sposób mogła być przekroczeniem wytycznych notatka, zredagowana bardzo spokojnie, mniej ostra od wielu wystąpień drukowanych dawniej bez zastrzeżeń, a nawet z aprobatą Pana Generała.

Na odprawie dn. 30 bm. Szef Oddziału i jego zastępca poinformowali redakcję ponownie o niezadowoleniu Pana Generała z ostatniego numeru „Orła”, a także o tym, że Pan Generał zażądał przedłożenia sobie politycznych (nieczytelne) numeru następnego. Wreszcie nadeszła decyzja Pana Generała zakazująca ogłoszenia już wydrukowanego z poprawkami Szefa Oddziału artykułu J. Mieroszewskiego, jakkolwiek oznacza to zniszczenie nakładu i niedostarczenie czytelnikom numeru. Muszę stąd wnosić, że powodem decyzji nie były drobne szczegóły, ale zasadnicza niezgodność artykułu, dowodzącego w spokojnej, chociaż dobitnej formie, że olbrzymia większość narodu polskiego sprzeciwia się kapitulacyjnej polityce p. Mikołajczyka, uznając jednocześnie w całości legalność jego rządu – z intencjami Pana Generała.

Ponieważ uważam się za wykonawcę na odcinku powierzonym wielokrotnie manifestowanej woli Pana Generała twardej i nieustępliwej polskiej racji stanu przed kapitulacyjną, a w sytuacji nie widzę elementów, które

> uprawniałyby do zmiany tej linii, a choćby jej złagodzenia – przeciwnie, wydaje się bardziej niż kiedykolwiek niezbędne powołanie do steru rządów ludzi, którzy potrafią zapobiec katastrofalnym zakusom obcych mocarstw – nie umiałbym prowadzić pisma po linii, której przesłanek nie jestem w stanie zrozumieć. Zarówno lojalność żołnierska wobec Dowódcy, jak i lojalność obywatelska każą mi w tej sytuacji prosić Pana Generała o zwolnienie mnie od pełnionych obowiązków. (-) Józef Poniatowski por.

W tym czasie przyjechał Juliusz Poniatowski, brat stryjeczny, były minister rolnictwa i uczestniczył w jednej z narad. Była to okazja do licznych, długich rozmów, które zawsze były krzepiące, gdyż uważał Juliusza za człowieka, do którego żywił stuprocentowe zaufanie. On stał na stanowisku, że zanadto pośpieszono się z ustąpieniem, że ta praca była tak ważna, że należało ją pomimo wszystko kontynuować do granic możliwości. Ale go nie przekonał.

Sąd kuzyna wypływał, jego zdaniem, z niedocenienia, albo nie posiadania wszystkich elementów, które właśnie sprawiały że dalsza praca byłaby marnowaniem pracy poprzedniej.

Wreszcie powrócił Święcicki oświadczając, że generał przyjął jego dymisję i Ulatowskiego (te dwie, które były na piśmie), że

wyrażał się o redaktorze bardzo dobrze, z szacunkiem. Żałował, że nie cieszył się jego zaufaniem i że w trzech miejscach owego podania znalazł sugestię, jakoby on zmienił linię, co bynajmniej nie odpowiadało rzeczywistości.

W końcu nadszedł rozkaz przenoszący dotychczasowego redaktora do wydziału Dobrobytu Żołnierza II Korpusu.

Po zakończeniu działań wojennych osiadłszy na stałe w Londynie, gdzie doczekał się połączenia z rodziną przybyłą z Polski, oddał się pracy politycznej i naukowej na terenie polskim i angielskim (był przez okres czasu asystentem oksfordzkiego profesora Petera Wilesa). Wykładał demografię na Polish University College (PUC), afiliowanym do Uniwersytetu Londyńskiego, w latach 1948-49 oraz 1950-51. Był zastępcą redaktora "The Eastern Quarterly" 1951-54. W Szkole Nauk Politycznych i Społecznych w Londynie wykładał o ludności i rolnictwie w Polsce.

Wspominam go jako skromnego człowieka o nieposzlakowanym zachowaniu i wielkiej kurtuazji, absolutnie wiernego Piłsudskiemu i ofiarnego społecznika, bez szemrania znoszącego ciężki los wygnańca, pracującego przez długie lata fizycznie w fabryce, bezkompromisowego emigranta czekającego na powrót do wolnej ojczyzny, nie przyjmującego obcego paszportu ani nawet dopuszczającego myśli o jakiejś „przybranej ojczyźnie". To

był lojalny syn Polski zadający kłam kalumniom miotanym przez komunistów, którzy robili wszystko, by zohydzić wizerunek Polski międzywojennej, na który, niestety, wielu Polaków dało się nabrać.

Żałuję ogromnie, że nie pomyślałem o tym, by go w tamtym czasie wypytać szczegółowo o lata wojenne i dopiero dziś z jego zapisków próbuję dowiedzieć się o sprawach, które go zajmowały i akcjach, w których brał udział. Pamiętam, że wśród fotografii z czasów wojny były interesujące zdjęcia. Na jednym z nich młodociany król Iraku czytał „Orła Białego”, na innej mój Teść (bo w roku 1954 poślubiłem jego najstarszą córkę, Zofię), w towarzystwie tłumacza rozmawiał z regentem Iraku. Później, zarówno król Faisal II jak regent Nuri as-Said zostali zamordowani przez ludzi gen. Kassema, który obalił monarchię.

Józef Poniatowski zmarł w Londynie 24 marca 1995 roku i pochowany został na cmentarzu w Beckenham.

Florian Śmieja z teściem, Józefem Poniatowskim w Klubie w London, Ontario, fot. arch. Zofii z Poniatowskich i Floriana Śmiejów.

“Odprowadzamy jednego z ostatnich wiernych rycerzy Rzeczypospolitej“ – przemówił ksiądz, kiedy przy dźwiękach Pierwszej Brygady skromna trumna zmarłego, na ramionach czterech mężczyzn opuszczała kościół na Balham, kierując się ku cmentarzowi w Beckenham w południowym Londynie, gdzie znajduje się pokaźna już grupa grobów polskich.

Ksiądz zaś kończył cytowanie nekrologu:

> …uczestnik walk obu wojen światowych, odznaczony trzykrotnie krzyżem walecznych, poseł na Sejm II Rzeczpospolitej, dyrektor Biura Ekonomicznego Rady Ministrów, naczelny redaktor “Orła Białego” w czasie wojny, minister spraw krajowych Rządu na Wychodźtwie, odznaczony Orderem Polonia Restituta, doctor honoris causa Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie, całym życiem oddany sprawom Polski, opatrzony św. Sakramentami, zasnął w Panu w dniu 24 marca 1995, przeżywszy 97 lat…

.

Najpierw człowiek,

potem artysta: Kazimierz Wierzyński.

Kazimierz Wierzyński, 1928 r., fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Florian Śmieja

Mógłbym pamiętać Wierzyńskiego (1894-1969) jako bożyszcze wystrojonych, wytwornych pań i eleganckich panów, którzy w londyńskim Ognisku witali go owacyjnie, kiedy przyjeżdżał zza wielkiej wody. Piękna, postawna postać wziętego poety wabiła oko, a uchu schlebiała jego popularna poezja o urodzie życia świadcząca.

Znałem go jako zdobywcę medalu olimpijskiego, który tyczkarza i dyskobola pomieścił na Parnasie. Czytałem chętnie jego beztroskie wiersze i jego utwory emigracyjne pełne melancholii. Wzruszył mnie jego kufer,„blachą okuty”, któremu pozostał wierny.

> Cała moja ojczyzna,
>
> Paszporty, obywatelstwa,
>
> Emigracyjne wizy.

Po dziś dzień robi na mnie wrażenie jego liryczne zaproszenie:

> Ktokolwiek jesteś bez ojczyzny
>
> Wstąp tu, gdzie czekam po kryjomu:

> W ugornej pustce jałowizny
>
> Będziemy razem nie mieć domu.

A przecież, kiedy żył, twórczość jego znałem zaledwie powierzchownie, będąc w wieku, kiedy zbyt wiele nowego kłóci się w zajadłej kakofonii o wejście do jaźni. Był to też wiek górny, wiek durny krępowany kapliczkowymi lojalnościami, a przynajmniej krzątaniną.

Chociaż nie dałem sobie narzucić grupowej obroży, były inne powody, bardziej prozaiczne, jak choćby ustawiczne zachody, aby uruchomić, a potem utrzymać własne pismo, warsztat i trybunę, które uniemożliwiały czy utrudniały bliższe obcowanie z kolejnymi tomami Wierzyńskiego, nic już nie mówiąc o przeżywaniu ich, jak na to zasługiwały. Musiała więc poezja ta poczekać cierpliwie. Nie trzeba zresztą było się obawiać, że się zdezaktualizuje.

Wierzyński znany był z wielkiej serdeczności, jaką otaczał młodych poetów. Być może, że taka już była jego natura. Mógł był również wdzięcznie zapamiętać wrażenie, jakie na nim wywarła głośna recenzja Wacława Grubińskiego witająca w

słowach wyrażających najwyższy podziw tomik „Wróble na dachu”.

Halina i Kazimierz Wierzyńscy, Frascati 1965 r., fot. Biblioteka Uniwersytecka w Toruniu.

Będę go pamiętał za to, że był „najpierw człowiekiem, potem artystą”(motto jego poetyckiego debiutu). Na krótko przed swoją śmiercią sprawił mi wielką przyjemność i honor. Po przeniesieniu się na uniwersytet w Nottingham, rzadziej bywałem w Londynie. Przyjechawszy raz wśród zimy mocno

przeziębiony odwiedziłem, jak to było moim zwyczajem, drukarnię Oficyny Poetów i Malarzy mieszczącą się pod przęsłem mostu kolejowego na Tamizie opodal stacji kolejowej Waterloo. Czekała mnie miła niespodzianka. Czesław i Krystyna Bednarczykowie, poeci, drukarze i właściciele Oficyny, zaprosili mnie na kolację do pobliskiej restauracji pod słynną salę koncertową Royal Festival Hall. Tam, ku mojej wielkiej radości, zjawili się Halina i Kazimierz Wierzyńscy. Pan Kazimierz rozbroił mnie na samym wstępie, kiedy uścisnąwszy mnie oświadczył prosto, że miał wprawdzie inne plany na wieczór, ale przecież nie chciał stracić okazji, żeby mnie wreszcie poznać osobiście. (Wymienialiśmy od czasu do czasu listy). Tłumaczył, że w jego wieku nie mógł sobie pozwolić na zaprzepaszczenie takiej szansy.

Ta szlachetna wielkoduszność w stosunku do młodszych kolegów po piórze jakże odbiegała od przysłowiowej zazdrości pisarzy. Zmiarkowawszy ponadto szybko, że ledwo mogłem mówić, tak się moją chorobą przejął, że nakazał zostać w Londynie i udać do jego lekarza gwarantującego murowany efekt kuracji. Po dziś dzień odczuwam wzruszenie na myśl o szczerej trosce mistrza Kazimierza, któremu niedługo potem nawet jego zaufany lekarz pomóc nie zdołał.

Kazimierz Wierzyński w ogrodzie w Sag Harbor, fot. Biblioteka Uniwersytecka w Toruniu.

Wierzyńscy, po długich latach tułaczki w obu Amerykach, wrócili do Europy, aby osiąść w Londynie, otoczeni przyjaciółmi i wielbicielami. Wieść o nagłym zgonie poety rozeszła się po Anglii błyskawicznie. Pojechałem na pogrzeb, który m.in. zgromadził komplet pisarzy i redaktorów.

Na cmentarzu na Hampsted po pięknym przemówieniu ambasadora Edwarda Raczyńskiego i po oracji Aleksandra Janty, który przyleciał z Nowego Jorku, fotografowano licznie zebranych żałobników. Stojąc z boku na żadne oficjalne zdjęcie jego pogrzebu się nie dostałem. To dobrze. Byłby to przywilej nie zasłużony.

Tłumacz wytrawny – Karl Dedecius

Florian Śmieja

Karl Dedecius, fotografia z dedykacją dla Floriana Śmieji, arch. FŚ.

Nazwisko pochodzącego z Łodzi Karla Dedeciusa, wybitnego niemieckiego tłumacza literatury polskiej, wymienia się dziś w Polsce w gronie największych naszych przyjaciół i ambasadorów na Zachodzie. Nic więc dziwnego, że posypały się na niego

nagrody, wysokie odznaczenia i honory. W czerwcu 2002 roku odebrał kolejny doktorat honoris causa w Polsce, tym razem we Wrocławiu.

Ale początki jego chwalebnej drogi nie były ani proste, ani łatwe.

Było to w marcu 1958 roku, kiedy wśród listów do redagowanego wówczas przeze mnie *Mekuriusza Polskiego* znalazło się pismo z Niemieckiej Republiki Federalnej, w którym nie znany mi korespondent donosił o planowanej przez siebie antologii współczesnej poezji polskiej. Prosił o udostępnienie mu tekstów i danych biograficznych młodych polskich poetów mieszkających na Zachodzie. Pukał do różnych drzwi, ale trudno mu było zdobyć potrzebne materiały. Informował równocześnie o pośpiechu, gdyż miał napięty harmonogram wydania.

Postanowiłem na apel odpowiedzieć i bezzwłocznie wziąć się do rzeczy.

Nie zdołałem nakłonić do współpracy z niemieckim entuzjastą mieszkającego wówczas w Londynie miłośnika poezji, Józefa Jaksinskiego. Miał on pokaźną bibliotekę nowości poetyckich. Choć go nie przekonałem, postawił do mojej dyspozycji swoje zbiory, a ja skwapliwie z nich skorzystałem. Wybrałem stos tomów, bodaj 29 i wysłałem trzy paczki do Niemiec. Jaksiński miał zastrzeżenia m.in. do pośpiechu całego przedsięwzięcia

obawiając się, że owoc nie będzie najlepszy. Do wybranych tomów dodałem listę autorów z danymi bio-bibliograficznymi i wysłałem do Heilbronn Karlowi Dedeciusowi, bo tak się nazywał autor listu. Wymieniliśmy szereg listów i pocztówek dla uściślenia niektórych danych biograficznych. Nie upłynął rok, kiedy wyszła antologia *Lektion der Stille.* Była to pierwsza jaskółka, ale jak się miało wnet okazać, stanowiła ona nie tylko o wiośnie, ale o bogatym lecie nad spodziewanie urodzajnym w piękne przekłady i liczne edycje.

Te wiersze 36 poetów z Polski i z emigracji ukazały się w prestiżowym wydawnictwie Carl Hanser Verlag w Monachium przy hucznym aplauzie krytyków niemieckich. Tłumacz przysłał mi plik kilkudziesięciu (z czasem było ich dwieście) recenzji pisanych przez wybitnych pisarzy i krytyków wśród których znaleźli się Heinz Piontek, Marcel Reich-Ranicki i Karl Krolow. Podkreślali oni niezwykłość publikacji, talent tłumacza, biegłą orientację w przedmiocie, różnorodność i dobrą klasę polskich autorów. Tak zaczęła się niezwykła kariera człowieka, tytana pracy i miłośnika poezji, prelegenta i twórcy, a potem wieloletniego dyrektora Deutsches Polen Institut w Darmstadt, laureata wielu nagród, doktora honoris causa szeregu uniwersytetów, wielkiego ambasadora polskiej literatury w Niemczech.

Od samego początku kariery tłumacza, toczącej się przez wiele

lat na marginesie pracy zarobkowej, Dedecius wierzył w szanse poezji polskiej na rynku niemieckim.

> Pisemne krytyki pokazują – pisał – że na ogół technika i jakość poezji polskiej zaskoczyły wszystkich. Podkreśla się niezłomną wolę twórczą, nowoczesność sformułowań, głębię wstrząsających przeżyć. Nie brakuje głosów, które tę nową lirykę polską przyrównują do najlepszej młodej liryki niemieckiej, a niektórzy twierdzą, że jest od niej lepsza...

Niemniej urodziny tej antologii były zgoła dramatyczne. Kompilowanie tekstów wierszy i zdobywanie wiadomości biograficznych w latach pięćdziesiątych nastręczało wiele trudności, dziś zupełnie niezrozumiałych i absurdalnych. Adresaci próśb często nie odpowiadali na nie, źródła były mało dostępne, więc w efekcie przypadkowe. I tak w pewnym momencie, kiedy Dedecius chciał drukować w jakimś niemieckim czasopiśmie wybór młodych polskich poetów emigracyjnych, miał do dyspozycji jedynie kilka numerów krakowskiego czasopisma *Zebra* i teksty wierszy w tych numerach pomieszczone (m.in. Zygmunta Ławrynowicza). Posiadając tylko bardzo skromną biblioteczkę polskich poetów, musiał prosić o przepisywanie mu na maszynie dostępnych innym tekstów (były to czasy przed kserograficzne).

Otrzymawszy moje trzy paczki z Londynu, Dedecius pokwitował ich odbiór z entuzjazmem mówiąc m.in.

> …Gdyby Pan nie był mi przysłał książek tak szybko, wówczas nie dotrzymałbym terminu majowego a wtedy antologia nie ukazała by się na jesieni, ale dopiero na wiosnę.

Zawiadamiał przy tym, że mimo tak krótkiego terminu, pracował nad przekładami starannie i dokładnie zapewniając, że żadnego autora nie skrzywdził.

Potem jednak, nie mogąc doczekać się z Polski obiecywanych danych biograficznych, chciał sam pojechać do Warszawy, miał nawet jakieś zaproszenie, więc zaczął ubiegać się o wizę. Nawiązał kontakt z attaché kulturalnym Raczkowskim, ale mimo nieustanych zapewnień, wizy nie otrzymał, zwodzony do końca.

W liście z 2.7.1958 roku skarżył się zdegustowany:

> Na księżyc łatwiej pojechać, niż do tej smutnej Warszawy. Ponieważ troszkę honoru też posiadam, powiedziałem… dość tego, rezygnuję… Czasem aż mi przykro i żal, że wziąłem na siebie tę syzyfową pracę, która mi cały swobodny czas zabiera, dużo zdrowia i pieniędzy kosztuje…

Parę miesięcy później donosił, że

> Antologia długo już gotowa. Pedantyczne wydawnictwo czeka tylko jeszcze na te brakujące noty biograficzne z kraju.

Karl Dedecius, fot. culture.pl

Pisząc na lewo i prawo Dedecius uparcie bojował o swoją antologię. W drukarni nikt nie znał języka polskiego, rękopis wędrował tuzin razy między Monachium a Heilbronn, gdzie

mieszkał, niemniej kilka błędów literowych zostało, ku zgryzocie dokładnego tłumacza. Prowadziłem z nim dialog w sprawie niektórych jego wersji niemieckich. Wyjaśniał mi swoją postawę, obiecał wyłuszczyć ją szczegółowiej w wywiadzie dla naszego pisma pod warunkiem, że przyślę serię pytań, na które obiecał odpowiedzieć. Tymczasem dzielił się swoimi obserwacjami:

> Kiedy ukazała się moja „Lektion der Stille”, pierwsza niemiecka antologia najmłodszej polskiej liryki (także pierwsza w obcym języku w ogóle), która kosztowała mnie wiele czasu i trudu i troski, gdyż trzeba było karczować puszczę, a niełatwo było dostać, przeglądać i rozszyfrować ogromu polskich wydawnictw, napisał pewien krytyk, że wybór jest „skromny w porównaniu z obfitością wydanych w Polsce nowości”. Jaki mędrzec! Odkąd to mierzy się lirykę na metry, odkąd waży się wiersze jak kartofle na worki? Myślałem, że poezja to dalekoidące zagęszczenie, koncentracja, wybór…

A przecież jedną z oczywistych przeszkód w wydaniu książki były ograniczenia nakładane przez wydawcę mało pokupnych, ryzykownych tekstów. Tłumacz w liście skarżył się na stojącego do jego dyspozycji skąpość miejsca, że miał gotowe przekłady, które do antologii nie weszły. Pominięci poeci też się upominali. Ktoś napisał mu złośliwy list.

> Nie chce nigdy więcej „niczego” ode mnie słyszeć. Ponieważ nie wkluczyłem jego wierszy. Co za zarozumiałość! Takie są smutne radości sumiennego antologa,

komentował Dedecius.

Lecz docierały również pierwsze dobre echa z Polski. W liście z radością zacytował mi wypowiedź prof. Kazimierza Wyki:

> Muszę powiedzieć, bez próżnych komplementów, że trudności, jakie Pan odczuwa i o jakich rozwiązanie prosi, dowodzą znakomitego zrozumienia poezji i ponadto trudności i wieloznaczności języka polskiego, wieloznaczności zarówno semantycznych jak obrazowych… Przekłady, o ile mogę polegać na swojej znajomości języka niemieckiego, czysto biernej i czysto szkolnej, wydają mi się bardzo piękne, udane, a przede wszystkim wierne…

Chwalił go także profesor Konrad Górski. Ponieważ jego tekst jest w języku niemieckim, przytoczę własny przekład jego wypowiedzi:

> Czytając niemiecki tekst, słyszę dobrze melodię i rytm

> oryginałów. To wielkie osiągnięcie. Czy to nowy przekład, czy stary? Kto to jest Karl Dedecius? Jeżeli jest to nasz współczesny, to proszę wyrazić mu moje najwyższe uznanie.

W naszej korespondencji powtarzało się zaproszenie do Niemiec, ale moje drogi tamtędy nie wiodły. Zanim do osobistego spotkania doszło, Dedecius przeprowadził się służbowo do Frankfurtu. Tam go kilka lat później odwiedziłem z rodziną, kiedy wracaliśmy z Polski samochodem. Odszukaliśmy jego biuro towarzystwa ubezpieczeniowego, dla którego wówczas pracował, przekładając w wolnym czasie polską literaturę.

Pojechaliśmy razem do lokalnej restauracji na wolnym powietrzu na pieczone kurczaki i długo obiecywaną sobie rozmowę. Obiad się przeciągnął, tak że musiałem zrezygnować z odwiedzenia przejazdem Mariana Pankowskiego w Brukseli, bo do stolicy Belgii dotarliśmy dopiero późną nocą, i zdecydowali kontynuować jazdę do Ostendy na prom do Anglii.

W liście z 12.4.1960 Dedecius zawiadamiał:

> …Zaraz po Wielkanocy ukaże się tutaj dość ładna książka, bardzo dowcipnie ilustrowana: „Myśli nieuczesane” Leca w moim przekładzie.

Był to jego największy sukces wydawniczy. Pod tytułem „Unfrisierte Gedanken” utrafiły one w smak niemieckiego czytelnika. Tłumacz zapytany potem w Polsce o wysokość nakładu, powiedział „pięćdziesiąt tysięcy”, co z niewiary czy złośliwości dziennikarza zapisano jako „piętnaście tysięcy”. Dziś nakład tych aforyzmów przekroczył pół miliona.

Kiedy sam nieco później robiłem własny wybór tych aforyzmów i przekładałem na język hiszpański, by je wydać w Meksyku, napisałem o tym Dedeciusowi. Ubawiło go to.

> Uśmiechnąłem się, mimo woli, czytając Pańskie uwagi o „Nieuczesanych” . Chyba pod sugestią Leca pisał Pan o tej maleńkiej książeczce, albowiem Lec wciąż się na mnie dąsa, że zrobiłem tak szczupły wybór, zamiast wydać grubą książkę z wszystkimi myślami. To już w charakterze każdego ojca życzenie zebrać wszystkie swoje dzieci pod jednym dachem. Ale to nie zawsze możliwe. Po pierwsze, nie każda gra słów wychodzi w obcym języku (a przecież wiele aforyzmów Leca na tej podstawie słownej zbudowane), a po drugie, nie każda myśl, nowa i celna nad Wisłą, jest także samo nowa i celna gdzie indziej. …Boję się, że Lec nie miałby połowy swojego dzisiejszego sukcesu u nas, gdybym bez selekcji wziął wszystko, co on napisał. Pomijając to, że niektóre myśli, przetłumaczone na niemiecki, powtarzają

> nieśmiertelne mądrości wypowiedziane przed laty przez Salomona, Heinego, Goethego, Lichtenberga, Ebner-Eschenbacha, Krausa i innych aforystów. Perły ceni się tylko dlatego, ponieważ sprzedaje się je pojedynczo. Gdyby targowali nimi na rynku całymi workami – nikt by na to nie zwracał uwagi.

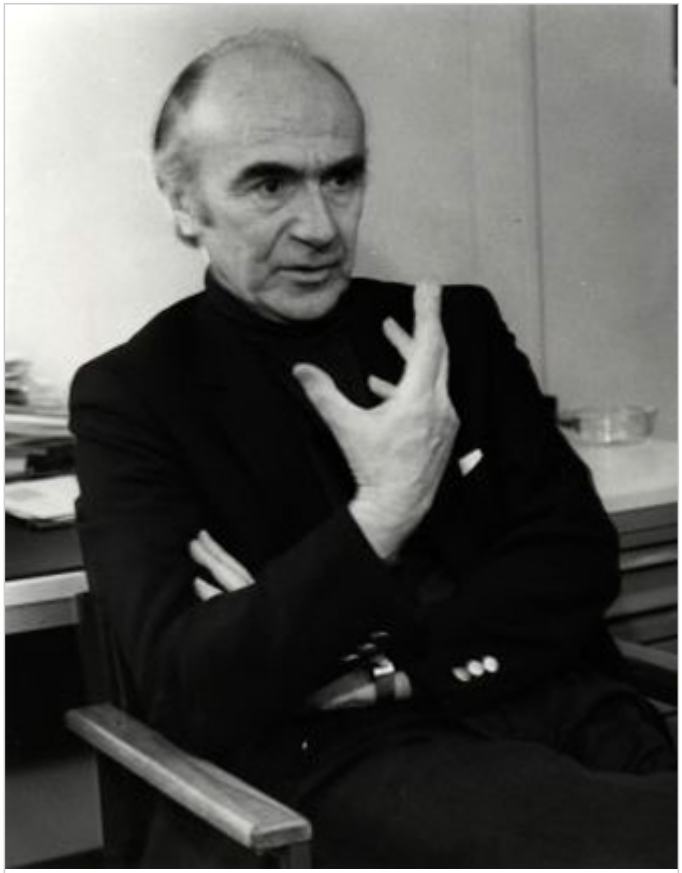

Karl Dedecius

W drugim liście podał mi adresy rodziny Leca oraz bogatą bibliografię lektury pomocniczej.

Miałem go następnym razem zobaczyć dopiero po latach w Warszawie. Bo tymczasem urosła jego sława i rozeszła się szeroko, a kiedy został dyrektorem Deutsches Polen Institut w Darmstadt i zaczął zapraszać pisarzy i poetów z Polski, stał się persona bardzo grata.

Na Saskiej Kępie u ambasadora Niemiec wraz ze spotkaną po drodze Ewą Lipską zastałem doborową drużynę ludzi pióra i kultury (wydawcy, pedagodzy, aktorzy) już tworzący dwa obozy, powiedzmy lojalistów i kontestatorów, która się zjechała z całej Polski, by uczcić 70 lecie pracy translatorskiej Dedeciusa. On, wysłuchawszy laudacji i koncertu fortepianowego, z przysłowiową niemiecką przezornością wręczył każdemu z obecnych gotową na tę okazję księgę pamiątkową.

Jan Darowski pisząc o “Lektion der Stille” w “Kontynentach” w 1962 roku martwił się o przyszłość fenomenu, którego nazwisko brzmiało Dedecius. Głosił on jasno i wyraźnie:

> W Dedeciusu poezja polska znalazła tłumacza na miarę Boya…Nie wiem, jak mu tam ojczyzna nasza pomaga, bo ona woli brać niż dawać, ale szkodą nie do naprawienia byłoby zaprzepaszczenie lub zmarnowanie jego dobrej woli w ten czy inny sposób…

Dziś, po tylu latach, zbawieni obaw o losy Dedeciusa, możemy spokojnie pogratulować sobie, że postawiliśmy na sukces.

Na mój wielki dzień 5 maja 2015 roku napisał list: *(wręczenie doctoratu honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego i przyjęcie orderu przyznanego przez króla Hiszpanii Filipa VI za działalność translatorską, przyp. red.).*

> Kochany Panie Florianie,
>
> nasza wspólna Alma Mater, Uniwersytet Wrocławski, postanowił Pana odznanczyć. Gratuluję Panu z całego serca tego wyróżnienia, które nas powtórnie do siebie zbliża, jak Pan widzi krąg naszych przyjaciół jest ciągle ten sam, miejsca do których podróżujemy te same. Cieszę się, że Uniwersytet Wrocławski postanowił Pana uhonorować w tak szczególny sposób. Przez moment miałem nadzieję, że uda nam się spotkać, ale jak sygnalizuje mi moja najbliższa współpracowniczka, pani Ilona, Pana podróż wiedzie przez Warszawę, a nie przez Frankfurt. Szkoda. Chętnie bym odświeżył naszą przyjaźń, zaprosił Pana (wraz z Córką) na odpowiednią kolację połączoną z „nocną rodaków rozmową”…

Karl Dedecius zmarł w 2016 roku.

Na jego koncie Niemcy zapisali odkrycie i przyjęcie polskiej literatury.

Oświecona zakonnica w niełaskawych czasach. Sor Juana Ines de la Cruz.

Florian Śmieja

W ocenie artysty dzieło jest najważniejsze, niemniej niejedno osiągnięcie staje się dopiero wtedy zrozumiałe lub choćby bardziej jasne, jeśli poznamy życie twórcy oraz epokę, w której mu żyć wypadło. Tak jest na pewno w przypadku siedemnastowiecznej poetki meksykańskiej sor Juany Ines de la Cruz. Koleje życia urodziwej i nadzwyczaj utalentowanej młodej kobiety, która schroniła się w klasztorze, aby poświęcić się pasji literackiej i intelektualnej, a następnie poniechała obu i zmarła na chorobę zakaźną posługując ofiarom epidemii, nie przestaje intrygować naukowców i biografów. Zajmują się oni tą fascynującą postacią od trzystu lat, a ostatnie dekady i okrągła rocznica śmierci poetki przyniosły szczególnie obfity plon publikacji bulwersujących tak historyków, jak prostego czytelnika. Prace te usiłują dać odpowiedź na wiele pytań, które nie znalazły zadowalającego wytłumaczenia w dotychczasowych badaniach.

Biografie siostry Juany Inesy są liczne i prezentują cały wachlarz poglądów różnych autorów w kwestii zagadki jej życia. Z grubsza można tu wyróżnić dwa zasadnicze stanowiska. Zwolennicy pierwszego z nich podjęli próby hagiograficzne: usiłowania przedstawienia protagonistki jako osoby wyrzekającej się świata i światowego trybu życia, aby pójść drogą świętości. Inni natomiast widzą w postaci sor Juany przypadek neurozy. Obie

strony powołują się na jej pisma, znajdując w nich znaki rozpoznawcze obu postaw.

Chociaż biografie twórców wyjaśniają wiele, ich dzieła mają, jak już zauważyliśmy, suwerenne jestestwo i kształtowane są nie tylko przez osobowość autora i jego egzystencję, ale też przez tradycję i smak czasów, w których powstały. Indywidualność talentu współgra zazwyczaj z sytuacją społeczną i z duchem epoki, budzi większe lub mniejsze zaangażowanie odbiorców, ściąga na siebie łaskę lub niełaskę władzy. Sor Juana Ines toczyła grę o wielką stawkę, o przywilej niemilczenia w obliczu wszechwładnej ortodoksji, która nie dopuszczała do głosu nowych, niebezpiecznych dla niej idei.

Próby ustalenia szczegółów dotyczących narodzin poetki najeżone są trudnościami. Jest wielce prawdopodobne, że przyszła ona na świat w roku 1648, ponieważ w księdze chrztów parafii, do której należała jej rodzinna miejscowość San Miguel Nepantla, jest zapis, że 2 grudnia 1648 roku ochrzczona został Ines, córka Kościoła, a rodzicami chrzestnymi byli brat i siostra matki, Miguel i Beatriz Ramirez. Była trzecią z kolei nieślubną córką Izabelli Ramirez de Santillana oraz niejakiego Pedra Manuela de Asbaje, o którym milczą źródła. Sądząc po losach wszystkich trzech sióstr, nieślubnemu potomstwu społeczeństwo meksykańskie nie stawiało wówczas szczególnych życiowych barier. Liberalizm w kwestiach płci spotykał się z tolerancją,

przymykano oczy na swobodę obyczajową, jak długo zachowywana była ortodoksja religijna. W Meksyku, jak w innych krajach europejskich, również panowała barokowa dychotomia używania i ascezy.

Sor Juana Ines de la Cruz

Bardzo niewiele wiemy o dzieciństwie Juany Inesy. Pewnym źródłem jest jedynie napisany przez nią do biskupa Puebli list, w którym wspomina, że cechował ją duch żywy i skory do zabawy. Niemniej okruchy jej dziecięcej biografii scalają się w pewien spójny obraz. Wiemy, że w rozmowach wykazywała szybką orientację, humor, łatwość improwizowania. Miała bujną wyobraźnię i odwagę. Lubiła ruch i muzykę. Przede wszystkim była dociekliwa. Interesowało ją wszystko, co znajdowało się wokół niej. Ta ciekawość miała przerodzić się w intelektualne zacięcie. Już jako trzyletnia dziewczynka wymogła na matce, by nauczycielka starszej siostry jej także udzielała lekcji. Z tych wczesnych lat datuje się jej awersja do sera, gdyż wierzono wtedy powszechnie, że jego konsumpcja źle działa na umysł. Pożądanie wiedzy było u niej silniejsze niż głód. Wcześnie nauczyła się czytać i pisać. Namawiała matkę, by ją, przebraną za chłopca, posłała do miasta Mexico na uniwersytet. Pocieszyła

się możliwością nauki i czytania w bogatej bibliotece dziadka. Ucząc się gramatyki obcinała sobie włosy, jeżeli na czas nie nauczyła się zadanej sobie lekcji. Powiadała, że głowa pusta nie zasługuje na ozdobę włosów.

W spuściźnie sor Juany mało jest wzmianek o jej rodzinie, o sytuacji w rodzinnym majątku u podnóża wulkanu Pepocatepetl, o świecie kobiet, w którym się wychowywała, wreszcie o dwu kochankach matki. Nie wiemy, czy znała ojca, który w kilka lat po jej przyjściu na świat zniknął ze sceny. Juana Inesa nie wspomina go. Jednak niektóre wiersze o odchodzącym mężczyźnie zdają się, wedle niektórych krytyków, jego mieć na myśli: poetka przywdziewa maskę wdowy, matki – za postacią zmarłego męża kryje się zapewne jej ojciec. Kto wie, czy pojawienie się w domu kolejnego kochanka matki, nie popchnęło Juany Inesy nie tylko do zamknięcia się w sobie, lecz także do myśli o celi klasztornej i o samotności. W porównaniu z tymi dwoma niejasnymi mężczyznami, którzy przewinęli się przez życie Izabeli Ramirez, ona sama była osobą konkretną, rzutką i władczą. Ważną rolę w życiu rodziny odegrał również jej ojciec, z którego biblioteki Juana Inesa korzystała czytając wszystko, co jej wpadło w ręce. Ta bogata lektura otworzyła jej okno na szeroki świat, stała się dla dziewczyny ucieczką ze świata rzeczywistego w świat idealny, w prawa systemu stabilnego i szlachetnego.Biblioteka ponadto oddalała ją od powszednich konfliktów, a także stawała się fundamentem życiowej szansy.

Posiadanie wiedzy mogło bowiem zrównoważyć niskie urodzenie i brak majątku. Mogło zmienić los, otworzyć lepszą przyszłość. Juana Inesa nie zważała na przeszkody: jej głód wiedzy domagał się zaspokojenia. Zuchwale wchodziła w świat umownych znaków, jaki otwierały przed nią książki, oszałamiając ją antynomiami złudy i rzeczywistości. Wtedy już zaczynała rozumieć, że wiedza jest heroicznym zrywaniem węzłów, łamaniem zakazów i konwencji.

Kiedy dzieckiem bodaj ośmioletnim będąc udała się do stolicy do bogatych krewnych, zadziwiła ich znajomością literatury i doskonałą pamięcią. Z czasem wyrosła na przystojną, obyczajną i wykształconą pannę, nauczyła się łaciny. Dlatego, jak tylko wylądował w Meksyku nowy wicekról, żonie jego przedstawiono cudownie uzdolnioną, a równocześnie osieroconą Juanę Inesę. Wicekrólowa, miłośniczka literatury, przyjęła ją na swoją służbę. Na dworze przez pięć lat błyszczała jej uroda, charakter i inteligencja. Juana Ines nie stroniła od zabaw, ale i nie zdołała zmienić swojej społeczno-towarzyskiej sytuacji osoby bez nazwiska i bez wiana. Bez nich korzystne zamążpójście było trudne. Ale ona sama wyznała później, że nie czuła wówczas powołania do małżeństwa.

Niespodziewanie w wieku lat dziewiętnastu wstąpiła do Zakonu Karmelitanek Bosych w Mexico. Nie wytrzymała jednak rygorów i z klasztoru wystąpiła. Półtora roku później złożyła śluby w

klasztorze św. Hieronima obierając regułę mniej surową

Ten krok młodej i powabnej kobiety rozpętał wśród jej późniejszych biografów najróżniejsze domysły. Tropiono zawiedzioną, czy niemożliwą miłość Juany; jako argument cytowano jej poezję miłosną. Można by na to odpowiedzieć, że znając sytuację i predyspozycje Juany Inesy, nie trzeba szukać zawodu miłosnego, by zrozumieć, dlaczego klasztor ją pociągał. Ponadto poezję miłosną uprawiali w jej czasach wszyscy, ale, zgodnie z duchem epoki, była to przede wszystkim sprawność, umiejętność posługiwania się sztafażem literackim. Nie posiadamy żadnych, ale to żadnych dokumentów, czy choćby poszlak świadczących, że było inaczej.

Niektórzy utrzymują, że Juana wstąpiła do klasztoru, bo miała powołanie. Ale bardziej przekonujący wydaje się pogląd, że została zakonnicą, by mieć swoje własne miejsce, gdzie czułaby się swobodna i bezpieczna, rezygnowała ze świata, ale obiecywała sobie ustabilizowane życie intelektualne. Wszelkie skrupuły, czy aby jej przywiązanie do literatury nie będzie kolidowało z obowiązkami stanu rozproszył pewien jezuita, spowiednik wicekróla, który wystarał się również o konieczne przy wstąpieniu do klasztoru wiano. Juana Inesa podjęła więc decyzję przemyślaną: skoro nie pożądała małżeństwa ze względu na ograniczone szanse, czy też odstraszona doświadczeniami matki i obu sióstr opuszczonych przez mężów, wybrała

zgromadzenie zakonne oferujące jej najdogodniejsze warunki spokojnego, bezpiecznego bytowania. Bytowania twórczego: zamierzała poświęcić się nauce. Żałowała, że nie urodziła się mężczyzną, bo w jej epoce droga do wiedzy była kobietom utrudniona, jeśli nie wręcz – zamykana. Idąc do klasztoru Juana w pewnym stopniu potrafiła tę barierę dzielącą ją od upragnionej samotności sforsować.

Klasztory, liczne w owym czasie, miały ważne funkcje do spełnienia. Oprócz dawania świadectwa cnotom chrześcijańskim, w których celowały jednostki o szczególnym powołaniu, zakonnicy nauczali i leczyli, opiekowali się ubogimi. Zakony

różniły się między sobą regułą, zamożnością, a także sferą społeczną, z której rekrutowały swoich członków. Klasztory cieszyły się autonomią, podlegając teoretycznie różnym przełożonym i jurysdykcjom. Oprócz licznych świąt i uroczystości religijnych urządzały również świeckie festyny, przedstawienia teatralne, gry i zabawy z udziałem gości duchownych i świeckich. Zakonnice nosiły biżuterię.Wprawdzie panował duch ascetyzmu, ale mocna też była wiara w niezwykłości i cuda. Sor Juna żyła w takiej atmosferze zachowując umiarkowanie i zdrowy rozsądek. Klasztor, w którym przebywała, słynął z nauczania tańców, muzyki i teatru. Zakonnice, a wśród nich również i ona, pisały teksty do muzyki oraz sceny dramatyczne. Ich dzień zaczynał się o szóstej. Odprawiana była msza św., modlono się kilka razy w ciągu dnia i pracowano. Cele były obszerne, piętrowe i raczej przypominały małe mieszkanka z kuchenką i łazienką urządzane wedle własnego gustu i możliwości. Zakonnice miały służące, jadły i pracowały każda osobno we własnej celi. Choć życie zamknięte obfitowało w plotki i intrygi, sor Juana potrafiła wychodzić z nich obronną ręką przez dwadzieścia lat.

Była niezwykle pilną czytelniczką, interesowała się wszystkim, szukała szerokiej encyklopedycznej wiedzy, pisała dużo, utrzymywała bogatą korespondencję. Zaginęły jej liczne listy świadczące o potrzebie komunikowania się z ludźmi oświeconymi, a także o pewnej intelektualnej próżności.

W pierwszych latach zakonnych miała kłopoty ze zdrowiem. Atakował ją tyfus.Wspomina o chorobie w wierszach, choć elementy autobiograficzne zostają w jej kompozycjach przesłonięte tradycyjnymi środkami poetyckiej sztuki baroku to, co osobiste, przemieniło się w kunsztowne koncepty ubrane w sztafaż filozoficzno-retoryczny. Te charakterystyczne cechy stylizacji znajdziemy zresztą nawet w utworach pisanych otwarcie dla osób najdroższych.

Ponieważ nie przechowały się oryginały wierszy, ani choćby ich odpisy, niemożliwe stało się ich datowanie za wyjątkiem bardzo niewielu tekstów. Nawet w tych drobnych utworach sor Juana jest mistrzynią słowa, rytmu i formy. Wiersze te odzwierciadlają porządek wszechświata i ład polityczny. Są to poezje dworskie zdolne zaskarbić sobie względy dworu i przynieść korzyść autorce i całemu zgromadzeniu. Ich język reprezentuje społeczne i polityczne konwencje. Pasja utworów miłosnych jest czystym platonizmem. Jeżeli by można zarzucić coś niektórym tekstom, to to, że autorka, łasa być może na pochwały, niekiedy snuje wywód zbyt cienki, pozwalając sobie na zuchwałe dowcipy. Nie potrafiła czasem zrezygnować z zaskoczeń przemyślnej inwencji, i wówczas jej lotność i przenikliwość stawała się swego rodzaju złośliwym tryumfem wyższej inteligencji wobec, jakbyśmy to dziś określili, inteligentnych inaczej.

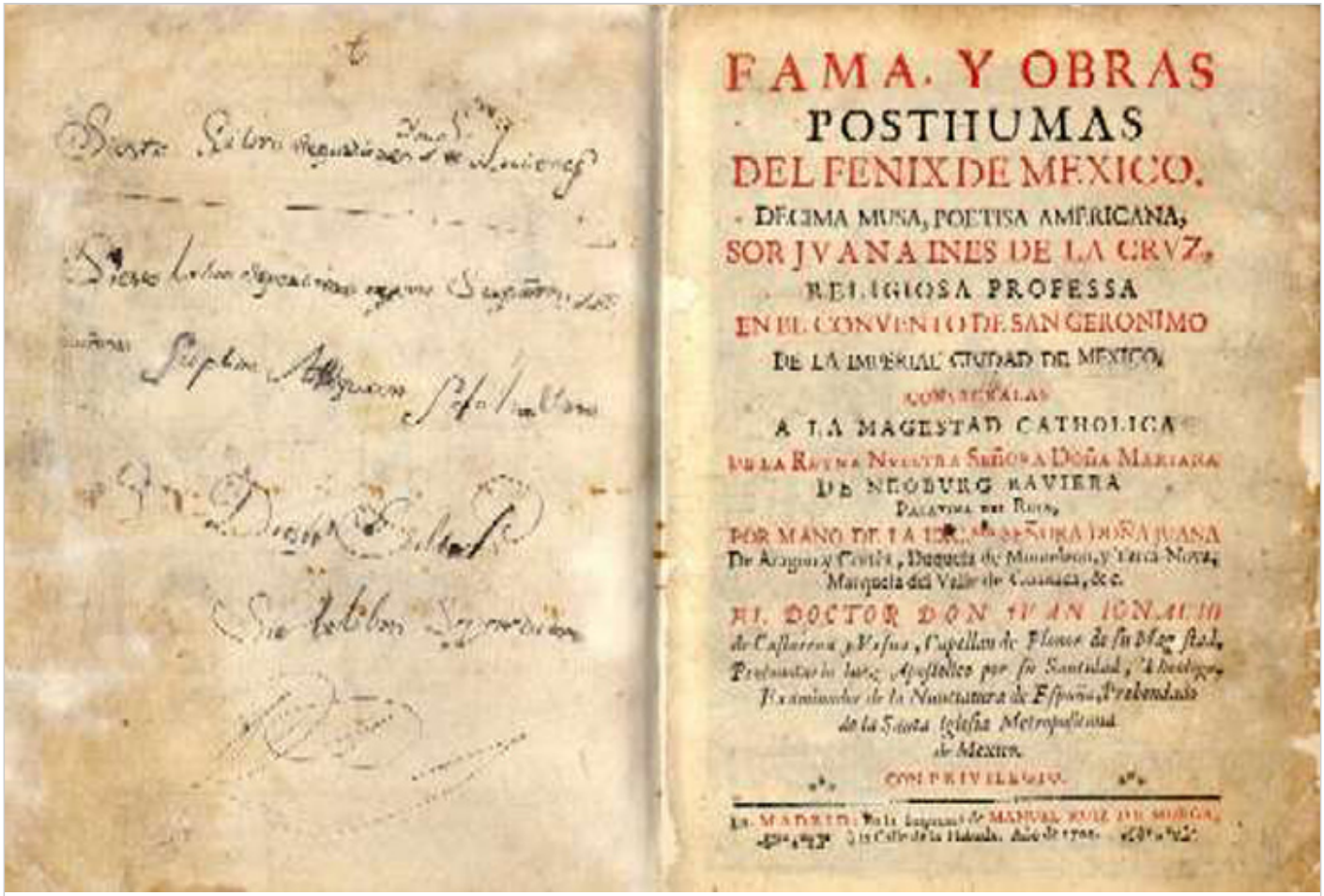

FAMA. Y OBRAS
POSTHUMAS
DEL FENIX DE MEXICO.
DECIMA MUSA, POETISA AMERICANA,
SOR JUANA INES DE LA CRUZ,
RELIGIOSA PROFESSA
EN EL CONVENTO DE SAN GERONIMO
DE LA IMPERIAL CIUDAD DE MEXICO.
CONSAGRALAS
A LA MAGESTAD CATHOLICA
DE LA REYNA NUESTRA SEÑORA DOÑA MARIANA
DE NEOBURG BAVIERA
PALATINA DEL RHIN,
POR MANO DE LA EXCMA. SEÑORA DOÑA JUANA
De Aragon y Castro, Duquesa de Monteleon, y Terra Nova,
Marquesa del Valle de Cuernaca, &c.
EL DOCTOR DON JUAN IGNACIO
de Castorena y Ursua, Capellan de Honor de su Magestad,
Protonotario Apostolico por su Santidad, Theologo,
Examinador de la Nunciatura de España, Prebendado
de la Santa Iglesia Metropolitana
de Mexico.
CON PRIVILEGIO.
EN MADRID: En la Imprenta de MANUEL RUIZ DE MURGA,
En la Calle de la Higuera. Año de 1700.

Autograf Sor Juany Ines de la Cruz.

Sor Juana była muzykalna. Komponowała melodie do własnych tekstów. Miała kolekcje instrumentów muzycznych, na pewno interesowała się teorią muzyki. Posiadała pokaźną bibliotekę, na którą składały się tomy poezji hiszpańskiej, kompendia mitologii, zbiór pisarzy rzymskich, wiele ksiąg religijnych i dewocyjnych, traktat teologów jezuickich.

W ciągu dwudziestu lat z ubogiej prowincjuszki stała się respektowaną siostrą zakonną, piastującą funkcje wymagające

zdolności i daru budzenia zaufania. Z ubogiej półsieroty stała się zamożną i wpływową kobietą. Dzięki talentowi literackiemu weszła w zażyłe stosunki z dwiema wicekrólowymi, jej wpływy w pałacu namiestników zapewniały opiekę i protekcję jej zgromadzeniu. W rozmównicy klasztornej podejmowała gości i przyjaciół czyniąc z niej nieomal salon literacki. Pisała i rozmawiała swobodnie bacząc jedynie, aby nie wdać się w dysputy teologiczne.

Taki obraz życia żarliwego zdaje się wyzierać z portretów poetki, choć kontemplując je bliżej można w nich odkryć również rozczarowanie i samotność wybitnej jednostki odstającej od tłumu, pogrążonej w swych odważnych myślach.

Przez całe życie służyła literaturze. Bezustannie korespondowała i prowadziła dyskusje na tematy literackie, przygotowywała starannie tomy wierszy i oddawała je w ręce przyjaciół, którzy je publikowali. Większość utworów wyszło drukiem jeszcze za jej życia, a powtarzane edycje świadczą o ich ogromnym sukcesie. Po śmierci Juany Inesy nastąpił wprawdzie wiek ciszy, ale jej powrót do łask krytyków i czytelników datuje się od końca ubiegłego wieku.

Spośród utworów sor Juany poezje miłosne budzą najwięcej kontrowersji. Podmiotem tej poezji nigdy nie jest zakonnica, ale wolna kobieta ze sfer wyższych, niezamężna lub narzeczona.

Swoboda. a niekiedy nawet zuchwałość, w traktowaniu tematów miłosnych, aczkolwiek uważane nie za wyznania osobiste piszącej, lecz wariacji na uniwersalny temat, były do czasu tolerowane przez władze kościelne z uwagi na wysokich protektorów w pałacu wicekróla. Śmiałe igraszki słowne ocierające się o granice tabu były zresztą jednym z wynalazków literackiego baroku, który cenił umiejętność dyskretnej inteligencji potrafiącej znajdować skojarzenia i relacje między przedmiotami i tworzyć koncepty jednoczące pojęcia najbardziej rozbieżne. Dodajmy, że wśród teoretyków konceptu brylowali już nieco wcześniej jezuici: w Hiszpanii Baltasar Gracian, a w Polsce – Kazimierz Sarbiewski.

Rozległą twórczość sor Juany ukształtowały życie i wyobraźnia, lektura i rozmyślania. Pamiętała lata w pałacu wicekróla, zapewne poznała rozterki miłości. W jej wierszach miłość jest pamięcią i wyobraźnią, co wcale nie musi oznaczać sztuczności czy letniości. Używając form wiersza tradycyjnego, ale również poetyki renesansowej przejętej przez hiszpańskich liryków z Italii, układała kompozycje lekkie, klarowne, bardzo rytmiczne, zasadzające się na metaforze nieraz przeradzającej się w alegorię. W formie wierszy ujawnia się bogactwo i swoboda jej inwencji. Niekiedy zaskakuje na początku iskrzeniem świetnego konceptu, trafnym słowem, znakomitym rytmem, ale potem rozczarowuje brakiem dyscypliny i zwięzłości, wielosłowiem, powtórkami. To zaniechanie rygorów jest pochodną używania

otwartej, starohiszpańskiej metryki, być może dogodniejszej do śpiewania. Inaczej zupełnie jest w sonetach, które zmuszają do przemyślanej konstrukcji. Ukazuje w nich poetka nie tylko mistrzowskie opanowanie form, ale także znakomite sploty treści, której drastyczność neutralizuje zwiewność i elegancja aluzji, a erotyczna fantazja zamazuje się w grze słów i sennych zwidów. Utwory religijne sor Juany są nieliczne i okolicznościowe. Cechuje je ten sam miłosny język i obrazowanie zgodnie z tradycją mistyków hiszpańskich oraz twórcy *Pieśni nad pieśniami.*

Najczęściej cytowanym utworem poetyckim sor Juany jest satyra na mężczyzn, którzy, będąc powodem nieszczęść kobiet, niesłusznie je potem obwiniają. W tej znakomitej obronie kobiet autorka ucieka się do formy i ducha dawnych hiszpańskich *canciones* zbieranych w popularne antologie tzw. Cancionero, a obfitujących w wyszukane koncepty miłosne, stereotypowe sytuacje i tradycyjną rytmikę. Rownież liryki z powieści pasterskiej *Gil Polo* były wzorem dla tego utworu, w którym zawarła poetka swoją obronę i zgromiła mężczyzn ich własna bronią. W tradycyjnie męskiej kulturze owych czasów utwór ten zaskakuje tonem, którego nie spodziewano się usłyszeć wśród głosów dolatujących z dalekch kolonii hiszpańskich.

Najobszerniejszym tekstem poetyckim Juany Inesy jest pochodzący z roku 1685 *Pierwszy sen*. Jest to traktat liczący 975 wersów różnie rymowanych. Akcja trwa jedną noc. Na modłę wielkiego poety barokowego Góngory, autora dwu *Samotności (Soledades)* poemat sor Juany odziany jest w szatę manierystyczną, która podziwiać każe piękno konceptu, częste przerzutnie, a nawet echa Góngory. Miejscem akcji są niezamieszkałe przestworza nieba pełne geometrycznych figur. Sor Juana pokusiła się o wyrażenie tego, co jest niewidzialne, abstrakcyjne, co dusza tylko zdolna jest dostrzec. Jest to poezja kosmiczna, w której dusza, wyszedłszy z ciała, wędruje po zaświatach. Wzloty intuicyjne duszy wyswobodzonej z pęt ciała na kszałt piramidy cienia kierują się ku nieznanym sferom.Bogactwo nieba sprawia, że dusza omdlewa oślepiona światłem. Rozum wobec ogromu świata wątpi i cofa się: porwał się oto na rzeczy niemożliwe, jak Faeton nieszczęsny, który odważył się kierować wozem słońca i “uwiecznił swe imię na swojej ruinie”. Wtedy wstaje zorza, poetka budzi się. Nastał nowy dzień.

Wielu krytyków dostrzega w tym poemacie intelektualną spowiedź sor Juany, zdradzającą zuchwałość jej ducha i jego wątpliwości, ale także pochwałę bohatera tragicznego sięgającego po to, co niemożliwe. Jesteśmy w tym utworze świadkami klęski: czy jest to porażka sor Juany, kobiety czy osoby? A może to efekt upadku człowieka? Niemniej – zdaje się mówić poemat – kiedy umiłowanie wiedzy staje się pasją, a jej osiągnięcie jest niemożliwe, pozostaje nam wyzwać los i nie pozwolić, by opanowała nas rezygnacja.

Słynny teatr hiszpański siedemnastego stulecia, który po fermencie drugiej połowy wieku szesnastego przeszedł rewolucję nowej komedii Lopego de Vega, kontynuowanej i przekształcanej później przez cały zastęp genialnych dramaturgów takich jak Tirso de Molina, Alarcón i Calderón de la Barca, stał się ulubioną rozrywką społeczeństwa hiszpańskiego celebrującego siebie i swoje historyczne osiągnięcia na deskach teatrów. Żywo reagując na te inspiracje sor Juana także chwyciła za pióro i dla dworu wicekróla i wielmożów napisała dwie komedie płaszcza i szpady, to jest komedie intrygi, łącznie z poprzedzającymi je introitami i wzbogacającymi intermediami. *Los empeños de la casa*, sztuka nadal zachowująca dawny wdzięk, mówi o kobiecie, która dla miłości opuszcza dom, a potem wraca, by wyjść za mąż. Sztuka ta ma postacie racze,j szblonowe, innowacją są naleciałości meksykańskie w ustach błazna. Cechuje ją zawiła, szybko tocząca się akcja, błyskotliwe

odezwania i koncepty zakwefionych dam i zakochanych kawalerów, muzyka i śpiewy. W drugiej komedii wystawionej w roku 1689 na urodziny nowego wicekróla, *Amor es mas laberinto*, również pełnej intryg, przenosi nas poetka na wyspę Kretę Minosa i Minotaura, Tezeusza, Fedry i Ariadny. Zabawną akcję podnosi poetycki język z intrygującą mieszaniną archaizmów mitologicznych i współczesnego baroku. Ton jest wybitnie manierystyczny. Uwagę jednak zwraca przemówienie Tezeusza, który wygłasza niebezpieczną przemowę o pierwotnej równości ludzi, których dopiero przemoc ujarzmiła i stworzyła wśród nich klasy i hierarchie. To jeszcze jedna zagadka.

Można przypuścić, że fama talentu poetyckiego sor Juany

sprawiła, iż jej sztuki były chętnie odgrywane przez Meksykanów. Liczne krótkie utwory dramatyczne Juany Inesy pisane były na różne okazje. Szczególnie udane były tzw. introity, dramatyczne skecze, formy przejściowe skomponowane, w najróżniejszych miarach, w których znajdujemy wiele udanych obrazów i językowych błyskotliwości.

Autos sacramentales czyli moralitety eucharystyczne, hiszpańskie jednoaktówki grane w Boże Ciało oglądano również w Meksyku. Sor Juana napisała trzy *autos*, z których *Boski Narcyz* z 1688 zyskał najwięcej sławy i prawdopodobnie wystawiony został w Madrycie rok czy dwa później. W 1690 ukazał się drukiem w Mexico. Dwa pozostałe, *Męczennik Sakramentu* oraz *Sceptr Józefa* wyszły w drugim tomie Dzieł.

Loa, czyli introit do Męczennika Sakramentu ukazuje teologiczne zainteresowania sor Juany. Dwaj studenci teologii zastanawiają się nad największym dowodem miłości Chrystusa: czy była to Jego śmierć za ludzkość, czy pozostawienie jej Sakramentu Eucharystii, chleba nieśmiertelności, umożliwiającego ludziom uczestniczenie w Jego naturze. Trzeci student, uosabiający autorkę, która jakby na scenie zrealizowała upragniony za dziecięcych lat status studenta uniwersytetu, przesądza sprawę. Akcja auto rozgrywa się w Hiszpanii wizygockiej w VI wieku i mówi o rebelii królewicza przeciwko swojemu ojcu, który jest arianinem. Jest to raczej sztuka schematyczna, której brak szlifu

i głębszego przemyślenia. *Sceptr Józefa* zaś to historia biblijnego Józefa sprzedanego przez braci do Egiptu, który po wielu perypetiach został doradcą faraona i dygnitarzem. Akcję komentują diabły wywodząc z niej alegorię przyjścia na świat Chrystusa i ustanowienie sakramentu Ołtarza.

Boski Narcyz sugeruje podobieństwo między starożytnymi ofiarami ludzkimi w tym wypadku świętem azteckim, podczas którego kapłani z ziaren i nasion nasyconych krwią ofiarowanych dzieci lepili postać boga Huitzilopochtli, którą następnie rwali na kawałki i spożywali – a Eucharystią. Sor Juana adaptowała mit o Narcyzie i Echo, lecz nimfa Echo reprezentuje nie człowieka, ale szatana, upadłego anioła. Chrystus patrząc do źródła nie zakochuje się jak Narcyz, w swoim odbiciu, lecz w ludzkiej kondycji, którą przybrał nie tracąc Boskości. Ta sztuka wyróżnia się wspaniałą poezją i polimetrią, reminiscencjami współczesnych poetów i *Pieśni nad pieśniami.* Należy do najwyższych osiągnięć szkoły dramatycznej Calderona, będąc dziełem o ambitnej strukturze intelektualnej.

W 1690 roku ukazała się w Puebli osobliwa publikacja: list sor Juany krytykujący kazanie portugalskiego jezuity. Autorka dała się wciągnąć w końcu w konflit między arcybiskupem Mexico a biskupem Puebli.

Nagle odezwały się nieprzyjazne głosy i zaostrzyły intrygi. Sor

Juana postanowiła odpowiedzieć na zarzuty postawione jej przez domniemaną sor Filoteę, bo pod takim pseudonimem ukrył się biskup Puebli. Napisała znakomitą i godną obronę zatytułowaną *Odpowiedź.* Adresat wtedy zamilkł i nigdy odpowiedzi nie ogłosił. Przeląkł się tekstu zakonnicy, która nie tylko się nie ukorzyła, ale odważnie i dumnie dowodziła, że jako kobieta ma prawo zajmować się sprawami intelektu i tworzyć literaturę. Broniła swojego talentu i posłannictwa dowodząc, że nie koliduje ono wcale z jej religijnym powołaniem. Wyznała szczerze, że w klasztorze szukała spokoju i możliwości lektury i twórczości. Fascynowały ją literatura starożytna i wiedza powszechna. Była samoukiem, nie miała ani nauczyciela ani współuczniów. Skarżyła się, że w klasztorze nie spotkała nikogo, kto by interesował się nauką, literaturą czy sztuką. Co gorzej, nie zaznała spokoju od towarzyszek, które szemrały przeciw jej wyróżniającej ją inteligencji i zamiłowaniom. Dowodzi w swej odpowiedzi, że nie widzi nic złego w edukacji kobiet ani w uprawianiu przez nie literatury.

Pomnik Sor Juany Ines de la Cruz w Meksyku, fot. pinterest.

Ta apologia, a zarazem szkic biograficzny, ukazała się dopiero 5 lat po śmierci autorki. A tymczasem kraj nawiedziły katastrofy żywiołowe, nieurodzaj, głód i rebelia. Wielu ludzi dostrzegało w tych zjawiskach karę Boską. Sor Juana, gnębiona atakami, ale broniąca ciągle jeszcze swojego prawa do godności człowieka rozumnego, zaczęła się wahać. Poczuła się bardzo osamotniona po odejściu od niej spowiednika i niejasnym zachowaniu się biskupa Puebli, a także po śmierci w Hiszpanii swego protektora. Rozumiała, że cierpiała prześladowania głównie dlatego, że była kobietą i do tego oświeconą. Przezornie przygotowała do druku w Hiszpanii dwa tomy swoich prac, aby one broniły jej reputacji.

Sama bowiem traciła siłę, odporność i pewność siebie. Długo się wahała, nim poprosiła spowiednika o powrót. Zdawała sobie sprawę, że równało się to kapitulacji i zrezygnowaniu z życia intelektualnego i twórczego. Po spowiedzi z całego życia podpisała dokumenty obiecujące zerwanie z przeszłością i prowadzenie wzorowego życia religijnego. Zaczęła umartwiać się ze szkodą fizyczną, a także psychiczną. 5 marca 1694 roku własną krwią podpisała wyznanie wiary oraz przekazała arcybiskupowi Mexico swoje książki, instrumenty muzyczne i przyrządy naukowe, by je sprzedał, a dochód przeznaczył na ubogich. 17 kwietnia 1694 roku, w konsekwencji zarażenia się od sióstr, którymi się opiekowała po wybuchu epidemii, sor Juana zmarła w wieku lat 46.

Jej wybitny rodak, Octavio Paz, który napisał znakomicie udokumentowaną i osadzoną w kontekście czasów biografię sor Juan powiada, że między nią a światem była sprzeczność nie do usunięcia, sprzeczność nie tylko intelektualna, ale także egzystencjalna. Zaistniała ona między jej powołaniem literackim a życiem zakonnicy. Była kobietą a chciała być uczoną.

Dzieło pisarskie sor Juany znamionują przymioty wielkości. Najlepsze jej utwory wytrzymują porównanie ze współczesnymi jej arcydziełami. Zadziwia ich ilość i różnorodność. Pisała pod urokiem wielkiego hiszpańskiego manierysty, Góngory, spontanicznego liryka Lopego de Vega i wybornego architekta

teatru Calderóna. Jej poezja wyróżnia się przede wszystkim wielką klarownością, uczuciem mieszczącym w sobie paradoksalną dwoistość, melancholijną świadomość swych granic. Nie jest to uczucie rozpasane i nieświadome, ale poddane rygorom przetworzone i zorganizowane w języku. Poetka posługuje się chętnie konceptem, kojarzy szczęśliwie chaotyczne aspekty rzeczywistości, nie popadając w przesadę czy śmieszność. Jej krótkie liryki są żywe, potoczyste, mają wdzięk pereł. Z teatru ostał się wspomniany już moralitet *Boski Narcyz*, choć auto sacramental należy do teatru rzadko już oglądanego. Respekt budzi nadal *Pierwszy sen*, alegoria pragnienia wiedzy i aspiracji ducha ludzkiego wobec ogromu niemego nieba.

Dorothy Schons nazwała sor Juanę "pierwszą feministką" Ameryki. Aczkolwiek trzeba jej kwalifikację uznać za anachronizm, prawdą jest, że w życiu swym sor Juana doświadczyła na sobie trudności, jakie ówczesne społeczeństwo stawiało jej płci na drodze do zdobycia wiedzy. Jej matka i inne kobiety w rodzinie skazane były na poślednie, uwłaczające ich godności, życie na łasce kaprysu mężczyzn, nieślubne dzieci często szły na poniewierkę. Stawanie w obronie praw kobiety innej niż ta, która tradycyjnie znosiła swoją dolę, określano mianem pychy i rebelii. W końcu zmuszono ambitną zakonnicę do pozbycia się biblioteki i porzucenia pióra.

Hagiografowie widzą w takim finale ukorzenie się hardego ducha

i zawrócenie na drogę pokuty i umartwienia. Inni wskazują na zmierzch sor Juany jako na jawny akt nietolerancji i patologicznych nadużyć władzy przez fanatycznych i zawistnych mężczyzn, którzy swoją ofiarę zmusili do obwinienia siebie i do podpisania niejasnych deklaracji celem utrzymania dyscypliny zakonnej, a właściwie dla zachowania patriarchalnego absolutyzmu.

Współczesne feministki usiłują zrobić z autorki *Pierwszego snu* swą sztandarową patronkę. Istotnie, we wzmiankowanym liście powołała się ona na poczet oświeconych niewiast przeszłości i czasów sobie współczesnych; napisała, że inteligencja nie jest przywilejem mężczyzn, że rozum nie posiada płci, że należy nie tylko nie zabraniać kobietom możliwości nauki, ale przeciwnie, zorganizować powszechną edukację kobiet pod egidą klasztorów lub instytucji w tym celu powołanych. Byłby to z jej strony dowód odwagi. Ale Octavio Paz wskazuje na jej lęk, a przynajmniej nieśmiałość wobec władz, jej konformizm wobec Kościoła i Inkwizycji. Równocześnie jednak podkreśla jej nieugiętą wolę, by być tym, kim być chciała: by zdobyć psychiczną i moralną samowystarczalność. Nie dostrzega w jej postawie buntu, lecz "przykład właściwego zastosowania inteligencji i woli w służbie wewnętrznej wolności".

Dziesiąta Muza, jak ją nazwano, pozostaje mimo tylu dociekań, zagadką. Kto dziś zdolny jest odnaleźć prawdziwą sor Juanę? Bo

wszystko było w niej zaskakujące i jak napisał Ramón Xirau, “przedwczesne, nie wyłączając jej śmierci”.

Drzeworyty Pawła Stellera

Paweł Steller, Planetarium w Chorzowie, drzeworyt, 1967 r.

Florian Śmieja

Podczas jednej z wcześniejszych wypraw do Polski Ludowej zawędrowałem do Wisły-Malinki, gdzie wynajęła nam kwaterę pani Stefania, druga żona Pawła Stellera. Z okruchów pamięci wnoszę, że byliśmy w jej letnim domku co najmniej dwa razy. Raz, pamiętam, jechaliśmy własnym pomarańczowym autobusikiem kempingowym Volkswagen i nieomal przez całą drogę od Mikołowa jechał za nami samochód prowadzony przez wyższej rangi oficera wojskowego. Ku naszemu zdumieniu i małym zakłopotaniu wjechał on za nami także na podwórze

docelowe w Wiśle. Okazało się, że jechał za nami kapelan wojskowy, także gość pensjonatu pani Stefanii.

Drugim razem byłem tamże z córkami bez samochodu i skwapliwie skorzystałem z oferty powracającego do domu gościa, proboszcza parafii Mariackiej w Katowicach, ks. Damiana Zimonia, proponującego, że nas zabierze do Katowic. Z czasem Zimoń został Arcybiskupem Metropolitą Katowic. Na probostwie zaprosił nas na kolację, a córki poprawiły angielskie napisy dla turystów zwiedzających jego kościół.

W swoim mieszkaniu w Katowicach pani Stefania urządziła małe muzeum męża, wybitnego artysty-grafika (1895-1974). Jego drzeworyty zwłaszcza przyniosły mu światową sławę i nazwanie polskim Dűrerem.

Paweł Steller, Port rybacki w Sopocie, drzeworyt 1956 r.

Paweł Steller urodził się w 1895 roku w Hermanicach koło Ustronia na Śląsku Cieszyńskim. Rodzice przeprowadzili się na Kresy tak więc Paweł gimnazjum ukończył w Samborze, a we Lwowie zaczął malarstwo. W Warszawie zapisał się na studia plastyczne, a pod egidą Władysława Skoczylasa nabrał zamiłowania i doświadczenia w zakresie drzeworytu.

Wróciwszy na Śląsk pracował jako nauczyciel w Chorzowie, a

później w Katowicach, gdzie urodził się jego syn Stefan. W 1945 bezpodstawnie oskarżony o współpracę z obcym wywiadem został wywieziony na rok na Syberię. Po powrocie wznowił pracę i bogatą twórczość. Zmarł w Katowicach w 1974 roku.

Nic dziwnego, że ja także urzeczony mistrzostwem jego kunsztu, nabyłem teczkę odbitek klisz drzeworytów i przywiozłem ze sobą do Kanady.

Spodobały się one bardzo Wacławowi Iwaniukowi, więc mu kilka odstąpiłem. Inne podarowałem mojemu synowi Markowi. Galerii miejskiej w London, Ontario, zostawiłem „Potok” przypominający technikę i temat twórczości kanadyjskiej „Grupy Siedmiu”.

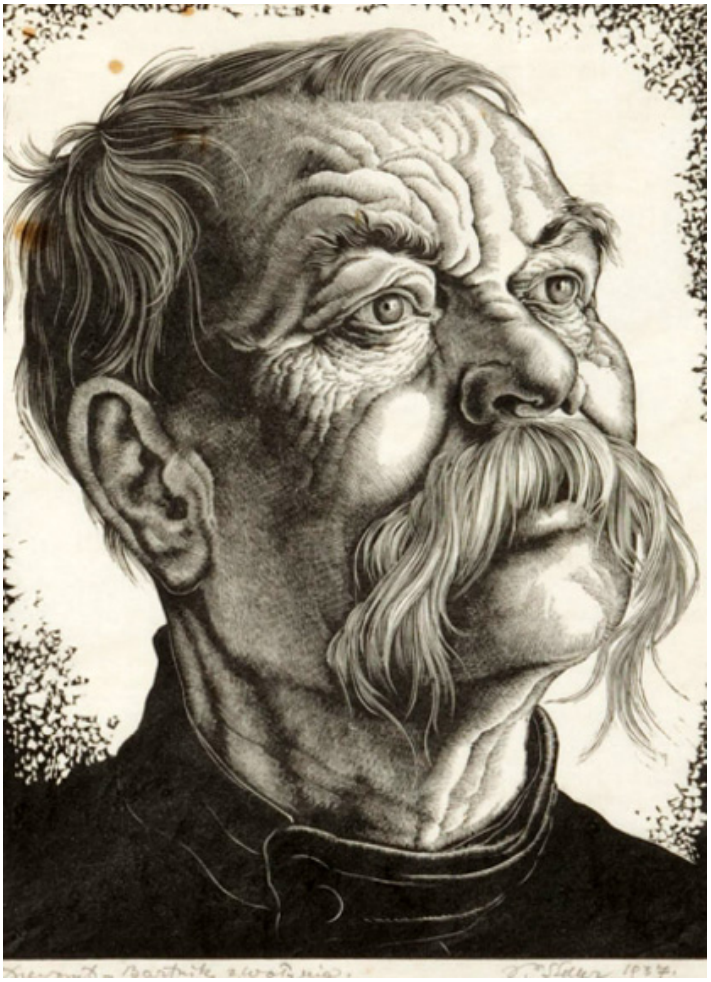

Paweł Steller, Bartnik z Wołynia, 1937 r., drzeworyt.

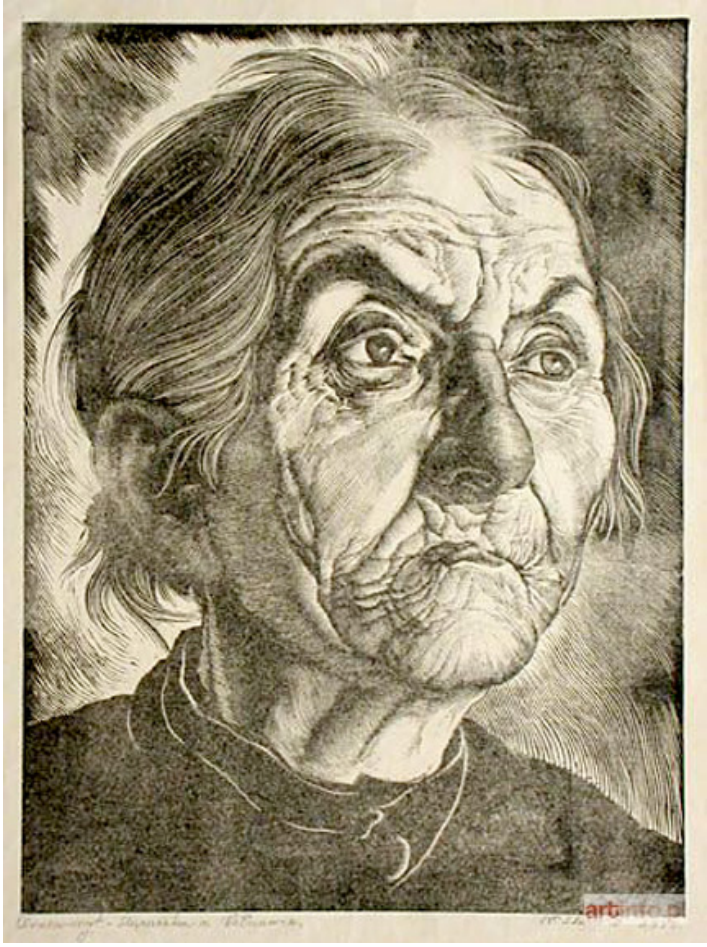

Ślązaczka z Wełnowca 1935 r., drzeworyt.

Dwu drzeworytów Stellera użyłem na okładkach moich wierszy: „Port rybacki w Sopocie” w zbiorku „Jeszcze wiersze” (1984) oraz w tomiku przekładów na język angielski „Not a Tourist” (1986 i 1988). W efemerydalnym czasopiśmie poświęconym poezji „Eclipse” wychodzącym w London, Ontario, w styczniu 1980 udało mi się opublikować drzeworyty „Grzybobranie”, „Port rybacki w Sopocie” a także portrety „Ślązaczki” oraz „Bartnika”.

Sztuka Stellera uchwyciła w Kanadzie maciupeńki przyczółek.

Wystawa drzeworytów Pawła Stellera w Ustroniu z okazji 120 rocznicy urodzin artysty, marzec-kwiecień 2015 r.

Tropami Federica. Część II.

Federico Garcia Lorca

Florian Śmieja

Zmysłowość jest zasadniczą cechą poezji Lorci, prawdziwego syna Andaluzji. Ale nie jest to erotyzm wyuzdany czy swoboda fizyczna, ale raczej przerażająca, bezwzględna siła pożądania. W

literaturze hiszpańskiej nic to nowego. Źródła można szukać we wczesnym arcydziele “Libro de buen amor”. Jeszcze pełniej wypadła zmysłowa tragedia “La Celestina”. Nie brak cielesności u Lope de Vegi, w powieściach łotrzykowskich, u Góngory, Queveda. U Tirsa de Molina zabłyśnie w transcendentalnym świetle w sztuce “El burlador de Sevilla” i stworzy Don Juana, wejdzie w fazę romantyczno-mistyczną z Espronceda, Larrą i Becquerem. Wielkim jej eksponentem przed Lorcą był Ruben Dario.

U Lorci jest ona czysto cielesna, gwałtowna jak huragan, jak rozhukana rzeka podziemna. Niemniej, jest naturalna i spontaniczna. Wypowiada ją poeta ze szczerością łącząc ją z przesłankami teologicznymi. Stąd nierozerwalność trzech motywów: śmierci, życia zmysłowego i religii. W założeniach poeta nie odbiega od tradycyjnych zasad: honoru mężczyzny i dziewictwa kobiety. Jeżeli w niewydanym zbiorze “El divan del Tamarit” opiewana miłość jest inna, odcieleśniona, w dużej mierze należy to przypisać platonizmowi poetów arabskich południowej Hiszpanii.

Pięknym, przykładem platonizmu jest kasyda o czystości Abenfaracha z Jaen (+876). Między innymi mówi on: “I tak noc z nią spędziłem jak spragniony młody wielbłąd, któremu uzda ssać nie pozwala”. A dalej: “Bo nie jestem jak zwierzęta rozwiązłe, które ogrody biorą za pastwisko”.

Śmierć jest obsesją Hiszpanii. Istnieje powiedzenie, że umarły jest w Hiszpanii bardziej umarły, niż gdzie indziej. Wybitny poeta Antonio Machado w elegii na śmierć Lorci powiedział:

> Widziano go, jak szedł z nią sam
>
> Nie lękając się jej kosy

Nie ma w tym ani odrobiny licencji poetyckiej. Lorca mając dziewiętnaście lat pod wpływem Whitmana pisał:

> Krew moja niech na polu będzie
>
> Różowym i słodkim mułem
>
> W który swe motyki wbiją
>
> Utrudzeni wieśniacy

Tak się miało stać. Lecz zanim śmierć go zabrała, poeta zmagał się z nią niestrudzenie. Poświadczenie znajdziemy w jego dziełach na każdym kroku, życie u niego nie istnieje bez

odniesienia do śmierci.

> Nie ma człowieka, który by przy pocałunku
>
> Nie czuł uśmiechu ludzi bez twarzy

Lorca widzi, jak wszystko, co żyje, zmierza ze spuszczoną głową do bramy śmierci. Wzdryga się przed jej okropną rzeczywistością. Jego Cygan chce umrzeć na żelaznym łóżku w białych prześcieradłach. Najpełniej wypowie się w trenie na śmierć swojego przyjaciela toreadora. Z okrzykiem “nie chcę na nią patrzeć” pokazuje nam krew na piasku i prawie że lubuje się w okrutnym rozpatrywaniu symptomów śmierci:

> Teraz mech i trawa
>
> Wprawnymi palcami otwierają
>
> Kwiat jego czaszki.

Podobne cechy nosi opis śmierci św. Eulalii. Patrząc na wystawione ciało przyjaciela wzywa mężów nieustraszonych, aby przybyli popatrzeć na zwłoki, by mogli wskazać wyjście dla

junaka związanego przez śmierć. Wyjścia nie ma: trzeba się do śmierci przyzwyczaić.

Skoro śmierć niszczy życie, a ujść nie sposób, należy dopracować się lekceważenia, na jakie śmierć zasługuje. W ten sposób można jej narzucić swoją wolę. Przypomina to Rilkego. Wiele zbieżności odkryjemy również z rozmyślaniem Unamuna wyłożonym w “Tragicznym sensie życia”.

R.M. (znajomy poety, jeden z wykładowców Floriana Śmieji na King’s College w Londynie, przyp. red.) nadal pisze, że Lorca nieraz po sukcesach swoich w przyjacielskich rozmowach dawał wyraz obsesji śmierci i smutku człowieczych spraw. Śmierć jest obsesją narodu hiszpańskiego. Wystarczy myślą sięgnąć wstecz do średniowiecza, do teatru Złotego Wieku, do malowania śmierci przez Kościół, do apoteozy gwałtownej śmierci z jej jakby mistycznym zapachem krwi.: *me muero porque no muero*. Lorca postanowił żyć patrząc śmierci ustawicznie w oczy i przetrwać stawszy się częścią trwającego świata. To zapamiętałe pragnienie przetrwania widział w miłości matek do dzieci. Często wprowadza kobiety do swych sztuk, ale nie ma dla nich zwycięstwa. Trymfuje śmierć i klęska.

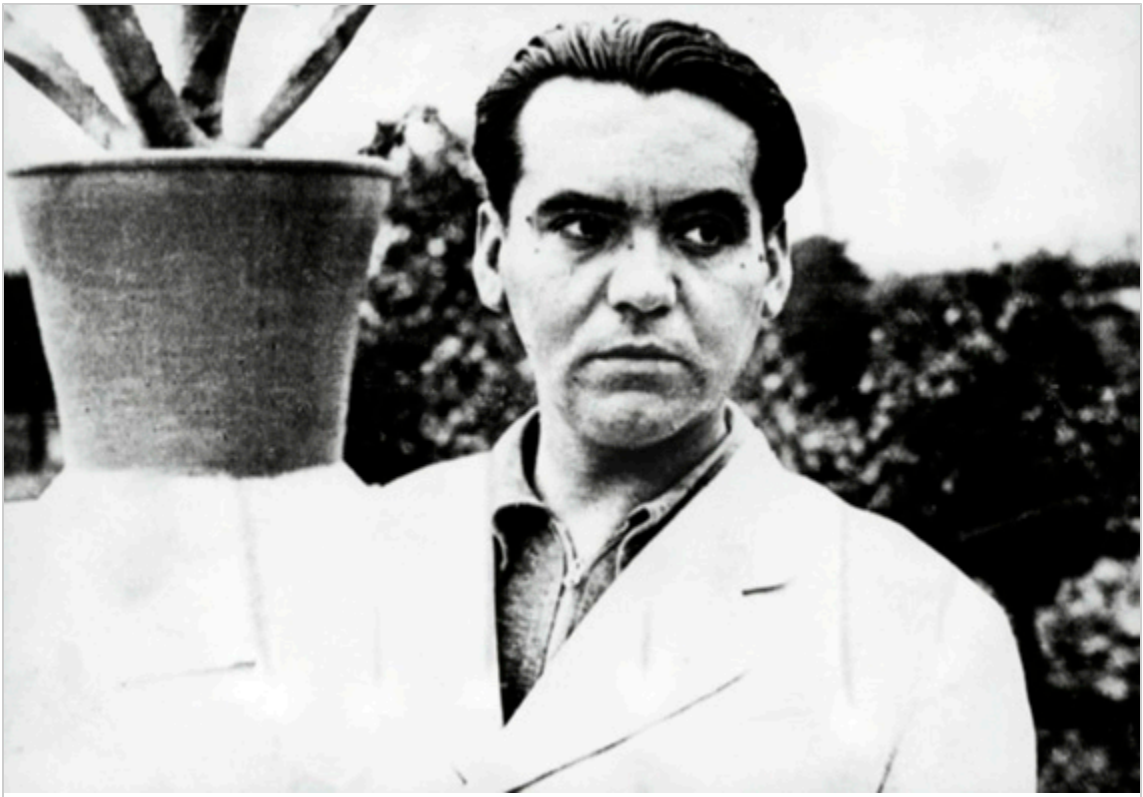

F. G. Lorca, 1935 r., fot. New Yorker.

Poeta wychowany w atmosferze katolickiej nigdzie w swej literackiej spuściźnie nie zostawił śladu wiary w zmartwychwstanie i życie chwalebne. Samotnie zmagał się ze śmiercią. Strachu nie próbował nawet łagodzić religijną pociecha. Jest adwokatem śmierci nieustraszonej. Człowiek potrafi umrzeć tak, że zabija własną śmierć. Taki człowiek musi prowadzić życie czyste i prawe.

Lorca wyrósł w tradycji andaluzyjskiego katolicyzmu. Jako dziecko brał czynny udział w życiu religijnym swego regionu. Wiemy, że lubił chodzić w procesjach, że malował Madonny, że budował ołtarze i “odprawiał” nabożeństwa. Już w młodzieńczych

utworach zmaga się z tajemnicami życia wołając:

> Powiedz mi Panie,
>
> Boże mój
>
> Zali nas pogrążysz w ciemności
>
> Przepaści?
>
> Alboż jesteśmy ślepymi ptakami
>
> Bez gniazd?

Element religijny jest jakimś prostym uczuciem, nieokreślonym, ale czystym. Często będą to reminiscencje z lat dziecinnych, opis figur świętych, archaniołów, malutkiego Dzieciątka. Już w 1918 pisze tak:

> Czymże jest święty chrzest
>
> Jeżeli nie Bogiem pod postacią wody
>
> Kiedy nam czoło namaszcza

> Swoją krwią łaski

Z wiersza jego pisanego rok później bije obawa przed złem, które wbrew własnej woli rodzi się w duszy. “Złe jest me serce, Panie, czuję nieugaszony ogień grzechu”. Kłosy zboża i posrebrzone pagórki, to duch Chrystus, który jest pokarmem w życiu i w śmierci. W innym wierszu w ujmujących słowach mówi, że pójdzie daleko aż po gwiazdy do Chrystusa i poprosi Go, by mu wrócił duszę pełną legend, czapkę z piórem i drewnianą szabelkę.

W “Romancero Gitano” poeta wraca do rodzinnej Andaluzji. Motywy religijne – częste – będą więc nosiły piętno tej ziemi. Sięga z wdziękiem do tradycyjnych obrzędów i pobożności bractw religijnych Opisuje sceny i komponuje pieśni na wzór śpiewanych podczas procesji Wielkiego Tygodnia. Wtedy bowiem stowarzyszenia religijne oprowadzają swoich patronów po ulicach rywalizując między sobą w wyszukanych komplementach. Często w gorączce uwielbienia dla swojego świętego nie szczędzą słów cierpkich dla rywali lub co najmniej okazują im niechęć. Bywa, że dochodzi do starć na świece i drewnianą broń “rzymskich” żołnierzy. O archaniołach będzie mówił jak galant, święta Rodzina jest na cygańskim jarmarku. Zgubiła swoje kastaniety. Matka Boska nosi suknie burmistrzowej i opiekuje się sierotami po zastrzelonych Cyganach. W historycznej romancy

podejmuje znany temat męczeństwa św. Eulalii z Meridy. Spod jego pióra wyszedł poemat na wskroś oryginalny, o jaskrawej plastyczności, śmiałych obrazach, zuchwały i okrutny. Wydaje się czytelnikowi, że patrzy na rozkrwawione obrazy malarzy średniowiecznych lub na galerię obrazów w kartuzji w Granadzie.

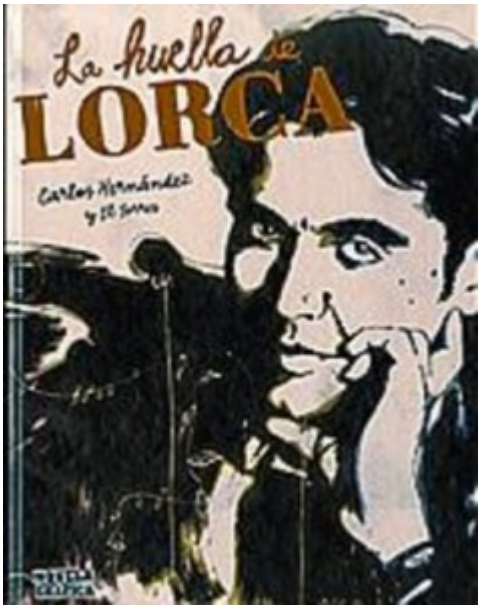

Myśl religijna Lorci najwyraźniej występuje w “Odzie do Najświętszego Sakramentu”. Cała kwintesencja sentymentu poety jest tam obecna. W żadnym innym wierszu o tematyce lub aluzjach religijnych nie znajdziemy tyle szczerego ciepła i wyrazu matczynej czułości. Chrystus poety to Dzieciątko “zziajane i nagie, ścigane przerz sześć rosłych byczków”. W chaosie świata widzi Sakrament Ołtarza jako symbol pokoju i porządku. “Świecie – woła – już masz cel, niezmienny Sakrament miłości i dyscypliny”.

Poeta nie był wrogiem religii. Utworów jego nie sposób zrozumieć bez uwzględnienia katolickiego, choć może dalekiego, podłoża. Takich sformułowań jak “krzyż (cel ostateczny drogi)”, “człowiek – to anioł upadły, biedna i gorzka istota” czy “Wezwij Marię, bo umierasz” nie brak. Znajdziemy z drugiej strony stosunek krytyczny do katolicyzmu hiszpańskiego.

Religia często u Lorci łączy się ze zmysłowością. W Hiszpanii czystość utożsamia się z świętością. Rygorystyczne posunięcia Kościoła powodują reakcje i nieraz prowadzą do wynaturzeń. Dość powiedzieć, że powstaje pewnego rodzaju erotyzm religijny, ubieranie figur świętych, kontemplacja wizerunków, spotyka się typ kobiety, starej panny, która chodząc koło dewocjonaliów zatruwa ciągłymi podejrzeniami życie innym.

Choć więc poezje Lorci o tematyce czy tle religijnym reprezentują myśl ortodoksyjną, daje się w nich wyczuć zbuntowaną siłę, potrącanie o wykrzywione, skryte erotyczne pierwiastki pod pozorem religii.

Hiszpania jest narodem poetyckim. Poezja żyje w narodzie, a nie jest tylko okrasą akademii albo przedmiotem snobizmu. Jest nierozerwalna z życiem, wspólna całemu narodowi, prawdziwa arka przymierza. W takim klimacie wiersze Lorci są przystępne, ale trudne dla czytelników nie znających podłoża hiszpańskiego i niezliczonych odnośników, aluzji, reminiscencji, skrótów poetyckich i węzłów skojarzeniowych. To osadzenie poety w języku ludowym stawia tłumacza w sytuacji kłopotliwej. Jeśli uwzględnimy bezpłodne próby “wytłumaczenia” passusów, które albo są dwuznaczne, albo sensu nie dają, otrzymamy pełny obraz niewdzięcznego trudu, jakim jest tłumaczenie Lorci.

Jaka jest pozycja Lorci po latach? Dzięki swym przyjaciołom i

wielbicielom zyskał rozgłos światowy. Spuściznę pośmiertną wydrukowano, poezje i dramaty przełożono na wszystkie ważniejsze języki świata. Zaczęły się pojawiać monografie. Świat złożył hołd wielkiemu poecie Andaluzji. Lud hiszpański nadal recytuje i śpiewa jego ballady. Zamordowanie poety w czasie wybuchu rebelii ułatwiło komunistom wynoszenie poety na piedestał ideowego męczennika. Jego ludzką miłość uciśnionych i prześladowanych pomalowano na czerwono, jak gdyby nie była ona naturalnym dążeniem człowieka. Opędzał się Lorca jak mógł przed partyjnym stempelkiem. Znamienne jest jego oświadczenie: jestem anarchistą, komunistą, liberałem katolickim, tradycjonalistą i monarchistą.

W Polsce o tym się zapomina. Nie pozbawiona jest ironii wypowiedź o braku tematyki republikańskiej w twórczości Lorci z lat trzydziestych:

> …Próżno byśmy szukali w jego sztukach bezpośredniego odbicia współczesnych wydarzeń. Jak wiadomo, kręte są drogi, jakimi aktualność przenika do dzieła sztuki.

Natomiast nadal mówi dobitnie, że “żaden protest przeciw używaniu nazwiska Lorci dla celów propagandowych nie jest dosyć ostry”. Stanowczo potępia krytyków, którzy w poecie widzą niebezpiecznego agitatora, nadużywającego talentu celem

zbałamucenia mas. Na dowód przytacza zdarzenie, któte miało miejsce w 1935 r. Wystawienie mieszczańskiej sztuki “Panna Rosita” w Barcelonie dała pretekst do politycznych demonstracji. Dowiedziawszy się o tym poeta był oburzony: “Mają mnie za głupca, czy co? Z mojej ‘Rosity’ robią politykę? Ja na to nie pozwolę”. Był poetą ludowym, ale nie w sensie klasowym, był poetą całego narodu hiszpańskiego.

Nie ulega już dziś najmniejszej wątpliwości, że jego romance tkwią dobrze pod hiszpańską “strzechą”. Nic ich stamtąd nie wyruguje. Natomiast różne grupy purystów zaczęły podważać ich wartość. Poczęto jego poezję oskarżać o łatwe “clichés”, o schlebianie smakowi (czy jego brakowi) ludu, o pogoń za egzotyką. Jakby świat cygański był szopką czy jarmarcznym kramem dla turystów. Lorca znał Cyganów, jak żaden inny poeta i uważał ich świat za nieodłączną część Andaluzji. To prawda, że szczególnie upodobał sobie pewne obrazy poetyckie. Przeplatają one całą jego poezję. Ale często są ciemne, trudne, niezrozumiałe. Nie one więc są kluczem do jego popularności, ale wątki o zazdrości, honorze, namiętności, o śmierci i o walce. Są one mocno osadzone w poetyckiej tradycji narodu, pisane w ulubionych rytmach, których kadencje każdemu Hiszpanowi tkwią we krwi. Popularność nie świadczy jeszcze o wartości dzieła sztuki, wszakże dzieła największe nigdy jej pozbawione nie były.

Jeśli Lorca spotkał się z zazdrosną krytyką przedstawicieli „współczesnych literackich herezji”, od których trzymał się z dala, to nieraz zbierał szczodre oceny przodujących krytyków. Damaso Alonso widzi w nim uosobienie poety hiszpańskiego. Niedwuznacznie przypisuje mu intuicyjne wyczucie form ludowych i tradycyjnych oraz absolutną wierność psychologii narodowej i indywidualnej charakterów. W jego poezji znajduje krytyk duszę Hiszpanii, andaluzyjską, cygańską, romańską, skoncentrowaną, zapach i światło i rytm. Oto raz jeszcze Hiszpania się wypowiedziała. Od czasów Lope de Vegi nie było takiego poety.

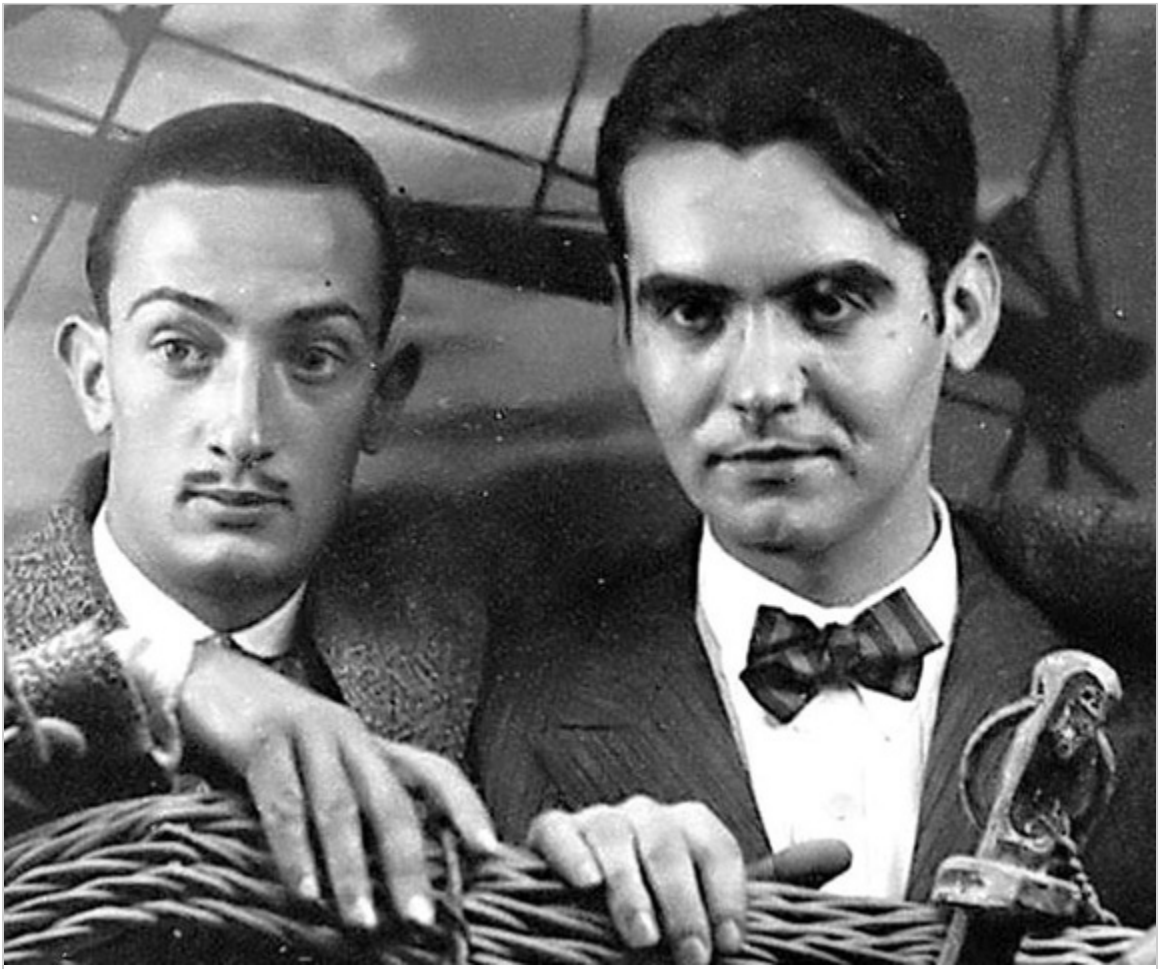

Salvador Dali i Federico Garcia Lorca.

W 1927 roku w Barcelonie w dekoracjach Salvadora Dali, Lorca wystawił sztukę “Mariana Pineda” bez powodzenia. Brak sukcesu uzmysłowił mu potrzebę zrezygnowania z tematów historycznych ubranych w romantyczną retorykę, a szukania współczesności i prostoty. Doświadczywszy psychicznego szoku w zderzeniu z wulgarnością architektury Nowego Jorku i nieludzkości amerykańskiej cywilizacji, uszedł w cudowną farsę pisząc dwuaktową komedię “La zapatera prodigiosa”. Wrócił w niej do andaluzyjskiej tradycji ludowej i nakreślił jedną z niezapomnianych postaci kobiecych, którymi zaludni przyszłe sztuki.

Mnie ta czarująca szewcowa równiej ujęła przekornym wdziękiem i tanecznym rytmem. Mój przekład pod tytułem “Przedziwna szewcowa” acz dokonany w Londynie miał szczęście doczekać się inscenizacji. Wystawiła go z wielkim ferworem amatorska grupa “Pro Arte” pod entuzjastycznym kierownictwem oddanej i energicznej Olgi Żeromskiej. Dzięki niej publiczność teatralna polskiego Londynu zobaczyła ambitne współczesne sztuki nieraz świeżo przełożone dla Olgi. Myślę tu m.in. o przekładzie irlandzkiej sztuki Synge’a dokonanej przez Wojciecha Gniatczyńskiego.

“Szewcową” w jej inscenizacji i reżyserii wystawiono dwanaście razy. Jan Bielatowicz poświęcił prezentacji sztuki obszerną recenzję, której kluczowym zdaniem było stwierdzenie:

> Wystawienie „Przedziwnej szewcowej” Lorci można uważać za prawdziwe teatralne zdarzenie, mimo wszystkich i licznych błędów.

Za jeden z nich uważał włączenie do sztuki tańców hiszpańskich “rozrywając tym ich ciągłość i odwracając uwagę od cienkiego przędziwa farsy-moralitetu”. Miał też zastrzeżenie do tytułu mojego przekładu oraz do jego zbyt małej giętkości i braku śmiałości, obawy przed przesadnym spolszczeniem.

Mimo umiejscowienia komedii w Andaluzji sam Lorca zapewniał, że

> koloryt sztuki jest przypadkowy, a nie zasadniczy…Ja sam mogłem tę alegorię umieścić wśród Eskimosów. Słowa i język mogą być andaluzyjskie, ale nie treść.

A także:

> Szewcowa oczywiście nie jest jakąś szczególną kobietą, ale wszystkimi kobietami”, “Wszyscy widzowie mają w sobie coś z Szewcowej.

Lorce dramaturgowi największy rozgłos przyniósł tryptyk wiejskich dramatów. W 1933 roku powstało “Krwawe wesele” (część tekstu w paryskiej “Kulturze” wydrukował Józef Łobodowski w 1948 roku). Ta poetycka sztuka w trzech aktach rozgrywa się w czasie wesela na wsi. Panna Młoda ucieka z dawnym narzeczonym, a w czasie pogoni obaj rywale giną w walce na noże. Scena ostatnia pełna liryki przenosi osobistą tragedię na ogólnoludzkie wyżyny pokazując, że śmierć należy do życia:

> Sprawiedliwie było.
>
> Na złoty kwiat, brudny piach

Wstawienie chórów, zawiła symbolika spowalniają akcję, lecz ta ambitna sztuka zaprowadzi do kolejnej, oszczędniejszej już i bardziej harmonijnie skomponowanej akcji “Bezpłodnej” (*Yerma*). Wierna mężatka nie doczekawszy się dziecka, morduje obojętnego męża.

W końcu Lorca napisał “Dom Berrnardy Alba” o niepomiernie większej sile dramatycznej i najdalej posuniętej oszczędności środków. Wystawienia tej sztuki już się nie doczekał.

Albaicin, Granada

Ostatniego wieczoru mojego pierwszego pobytu w Granadzie szukałem w ciemności drogi na wzgórze Albaicin. W towarzystwie znudzonego Anglika i francuskiego małżeństwa, mądrali o nabitym, trzosie i wystrojonej ignorancji, przyglądałem się tańcom i słuchałem muzyki Cyganów. Bielusieńka grota obwieszona miedzianymi sprzętami i fotografiami stała się parna od bujnego śpiewania i wytupywania rytmów. Serie kastanietów szyły powietrze niemiłosiernie, ciała poruszały się drapieżnie.

Schodziłem z Albaicin ciemnym korytem zawodzeń gitary

dzierganej namiętnymi palcami. Myślałem o Lorce. Tu właśnie profesor Trend z Cambridge w 1919 roku poznał poetę podczas fiesty muzyki i tańca i uległ czarowi jego gorącego zmąconego głosu. Po duchowej biesiadzie o czwartej nad ranem Trend schodził z Albaicin z Lorcą pod ramieniem. Ja szedłem sam.

> O Antonio Torres Heredia.
>
> Któż to pozbawił cię życia
>
> W pobliżu Guadalquiviru?

Śmiem wierzyć, że zelanci w Viznar uszanowali godność poety i wyświadczyli mu ostatnią hiszpańską przysługę pozwalając zapalić papierosa, by w ten sposób mógł okazać pogardę dla śmierci i ducha, którego padał ofiarą. Duch ten nie zwiastował nadejścia “królestwa kłosu zboża”.

Ale Lorca przewidująco pisał również o trzech tysiącach ludzi, którzy uzbrojeni w połyskujące noże przyszli zamordować słowika.